12 stron

Cena wydz. z dopłatą na Dom Słowa Polskiego 10 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 29 września 1946 r. | Nr 39 (96)

K. I. GAŁCZYŃSKI

KOLCZYKI IZOLDY

MAŁE ORATORIUM

HEROLDY:

Szły heroldy widziane z prawa,
biało-czerwone heroldy
i krzyczały heroldy: — Sława!
sława kolczykom Izoldy.

A pierwszy to był przebrany drukarz,
a ten, co gwizdnął do nas,
raz „sława!" krzyczał, raz w trąbkę [dmuchał,
a włosy miał jak winogrona.
Kwiaty z okien leciały na was,
biało-czerwone heroldy.
I śpiewały heroldy: — Sława!

DZIECI:

Potem szły dzieci widziane z lewa,
jak latarenki w balecie,
ale się nagle zaczęła ulewa.
I zapłakały dzieci.

ŻOŁNIERZE:

Szli żołnierze zmoczeni do nitki,
żołnierze widziani z góry.

ŚPIEW ŻOŁNIERZY

„A pod tą lipką, lipką zieloną
mówili sobie, że się ożenią.
Ślubna kareta, ślubne koniki,
a ja ci potem kupię kolczyki".

Kolczykom sława. Izoldzie sława.
Uszom ze śniadej skóry.

Dzieci z lewa. Heroldy z prawa.
Deszcz i żołnierze z góry.

NA RYNKU

MASTER OF CEREMONIES:

Proszę państwa, w sprawie tych kolczyków. Otóż zaznaczam, żeby uniknąć nieporozumień, że Izolda to jest po prostu konspiracyjny pseudonim. Dziewczynę znaleziono tego pamiętnego miesiąca na ulicy Wojciecha Górskiego. Kulturowo i semantycznie. Ona była, jakby to powiedzieć, owinięta w państwową flagę, ale całe ciało było zmiażdżone. Zostały tylko uszy i kolczyki. Realizm, panowie, realizm. I właśnie, w myśl powyższego pokażemy państwu

TANIEC NIEDŹWIEDZI.

Był pewien pan z Krakowa,
który niedźwiedzie hodował,
i zawsze po obiedzie
tańczył z jednym [niedźwiedziem,
a właściwie to była krowa,

a nad program nasz poeta ob. Roch Serafiński oddeklamuje swoją „Balladę o dwóch siostrach":

BALLADA O DWÓCH SIOSTRACH

Były dwie siostry: Noc i Śmierć,
Śmierć większa, a Noc mniejsza,
Noc była piękna jak sen, a Śmierć,
Śmierć była jeszcze piękniejsza —

hej nonny no! haj nonny ho!
Śmierć była jeszcze piękniejsza.

Usługiwały te siostry dwie
w gospodzie, koło rzeczki.
Przyszedł podróżny i woła: — Hej,
usłużcie mi, szynkareczki —

hej nonny no! haj nonny ho!
usłużcie mi, szynkareczki.

Więc zaraz lekko podbiegła Noc,
ta mniejsza, wiecie, ta modra.
Nalała. Gość się popatrzył w szkło:
— Zacny — powiada — kordiał —

hej nonny no! haj nonny ho!
Zacny, powiada kordiał.

Lecz zaraz potem podbiegła Śmierć
podbiegiem jeszcze lżejszym.
Podróżny — cmok! a kielich — brzęk!
bo kordiał był zacniejszy —

hej nonny no! haj nonny ho!
bo kordiał był zacniejszy.

Spełnił podróżny kielich do dna
i już nie mówił z nikim,
widząc, że druga siostra ma
dużo piękniejsze kolczyki —

hej nonny no! haj nonny ho!
dużo piękniejsze kolczyki.

Taką balladę, w słotny czas,
w oberży TRZY KORONY
śpiewał mi haj! w Dublinie raz
John Burton, John nad Johny —

hej nonny no! haj nonny ho!
John Burton, John nad Johny.

Dublin to z balladami kram,
niejedną tam się złowi.
Więc to, com ja usłyszał tam,
powtarzam Krakowowi.

MASTER OF CEREMONIES:

Koniec „Ballady o dwóch siostrach".

POETA:
(piszczy)

Niet

Nad brzegiem Wisły, Wołgi, czy Arna,
czy tu, czy na obłoku —
Izoldo moja, Izoldo czarna,
tyś piąta pora roku. Skończyłem.

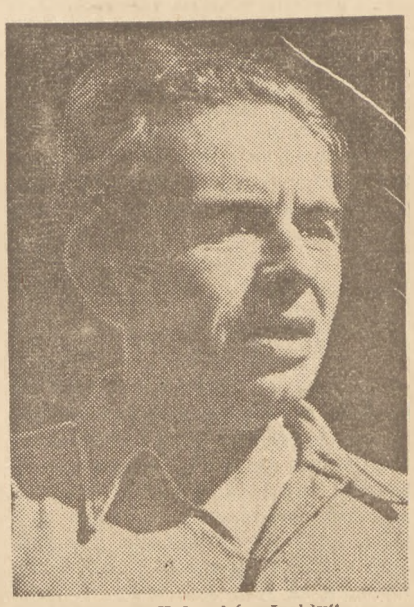

Autor „Kolczyków Izoldy"

MASTER OF CEREMONIES:

Kapitalny brak piątej klepki. Kochani radiosłuchacze, jeżeli teraz kto ma życzenie iść na nocną premierę „Kolczyków Izoldy", to naturalnie oczywiście nie możemy mieć nic przeciwko temu. Hymn. Dobranoc.

TEN SAM RYNEK WE MGLE

A pod tą lipką, lipką zamgloną
we mgle kareta, we mgle koniki.

A obiecałeś na ślub kolczyki.
Jakie kolczyki? Biało-czerwone.
Biało-czerwone? Tak. Jak Warszawa.
Dla mnie. Dla twej Izoldy.
Jaka Warszawa?

Warszawie sława,
sława kolczykom Izoldy.

W OBERŻY I Z OBERŻY

„POD OGNIEM, WODĄ I MIEDZIANYMI TRĄBAMI"

Niesłychanie mi przyjemnie.
Trzetrzewiński. Krupczałowski.
Pan się chyba śmieje ze mnie?
Ale skąd, na rany boskie!

Pan słyszał o tych kolczykach?
Podobno to balet chiński.
Może by tak pod śledzika?
Krupczałowski. Trzetrzewiński.

Kto? Izolda? Pod Cecorą?
Demokracja. Kant dziadowski.
Nas z Krakowa nie nabiorą.
Trzetrzewiński. Krupczałowski.

Jak pan mówisz? Bom zapomniał.
Pod Cecorą? Z tym Kilińskim?
Człowiek musi być przytomniak.
Krupczałowski. Trzetrzewiński.

Wie pan co? a mnie czasami
rosną, panie, rude włoski;
w ogóle taniec na wulkanie.
Trzetrzewiński. Krupczałowski.

Jedna siwa, jedna szlama
ten Balicki i Weryński.
Ma pan klucz? Zamknięta brama.
Krupczałowski. Trzetrzewiński.

Który klucz? O kluczu potem.
Nie zapłacił pan dorożki.
Ja? Znów strugasz pan idiotę.
Trzetrzewiński. Krupczałowski.

Mnie idiota? Od idioty?
Sam idiota, idiociński.
Pełnia, panie. Stąd wymioty.
Krupczałowski. Trzetrzewiński.

Demokracja. Demokracja.
Jak pan mówi? ryby z Rosji,
za kolczyki? Święta racja.
Trzetrzewiński. Krupczałowski.

Ja tu z lewa a ty z prawa,
będziem pili pod kanoldy.

I śpiewali żołnierze: Sława,
sława kolczykom Izoldy.

POETA:

Przepraszam, że się przyłączę.
Poeta. Roch Serafiński.
Ośmiorga imion. Xiążę.
Krupczałowski. Trzetrzewiński.

Właściwie — jestem bezdzietny.
Niestety noszę binokle.
Raz chciałem wskoczyć do Etny,
jak, ten, jak Empedokles;

dym był czerwono-biały.
Tylko sandały zostały.

Co proszę? Ee, nic właściwie,
to tylko taka bajka.
Więc piszę. I sam się dziwię.
A łzy takie wielkie jak jajka;

i z łez, no niby z tych jajek,
kiedy na ziemię upadnie,
wyfruwa kurczaczek-grajek
i śpiewa, och! jak ładnie.

Stąd wiersze, obywatele.
Dobrze poczytać w niedzielę.

A z wierszy znaczy się: kawa,
zelówki, chleb, czysty raj.
Sława, panowie, sława,
sława kolczykom.

Good-bye.

PŁACZ PO IZOLDZIE

napisał ROCH SERAFIŃSKI

Szkoda, że
stało się,
szkoda, że
nie ma, że...
eechr! próżna mowa.
Norwid, ten
pisałby,
Tycjan i
Rembrandt i
Loon by malował:
Ręce jak
miękki sen
oczy jak,
czy ja wiem?
Wiadomo: oczy.
Anioł szedł,
szedł przez mgłę.
Mówię: tak.
A on: nie.
I zauroczył.

No i łzy.
A, to ty?
Szkoda mi:
byłyby
i brzoskwinie...
biały ptak...
a tu tak:
czarny mak,
ciemny smak,
jak po winie.

Teraz co?
Nonny hoo!
Kruchy świat,
Kruche szkło,
maski i instrumenty.

Na cóż mi
kwiaty i
szmaragd i
gitara i
okręty.

DYREKTOR TEATRU:

Wchodzić, panowie, już się zaczyna,
stroje dowolne, byle nie nago.
Proszę: „Na bruku leży dziewczyna
przykryta biało-czerwoną flagą."

A w niebie zaraz, automatycznie,
spójrzcie: tuż koło Baraniej Mordy
gwiazd osiemnaście lśni bardzo ślicznie:
Gwiazdozbiór:
„Kolczyki Izoldy".
Kolczyki Izoldy?

K. I. Gałczyński

IZOLDZIE CZARNEJ,
WIECZNIE TEJ SAMEJ

K. W. ZAWODZIŃSKI

Stulecie trójcy powieściopisarzy

BOLESŁAW PRUS*)

Wraz z ostatnimi spostrzeżeniami co do charakterologii Prusa (zresztą, jak za chwilę zobaczymy, sprawy jego „psychologizmu" bynajmniej nie wyczerpującymi), przechodzimy od skaz na jego realizmie do ogólniejszych niedostatków artyzmu jego powieściopisarstwa. Należą doń najniewątpliwiej i najbardziej rzucają się w oczy, zwłaszcza w jego czołowych wielkich powieściach, wady w budowie utworu. Mówić o kompozycji „Emancypantek" jako całości, w ogóle niesposób; można „ocalić ich twarz" pod tym względem, traktując je jako cykl czterech zupełnie odrębnych utworów, związanych dość luźnie osobą wspólnej bohaterki i kilku jeszcze, występującymi epizodycznie tu i ówdzie w niektórych ogniwach cyklu, figurami. Ale nie o wiele lepiej przedstawia się sprawa kompozycji „Lalki", wysuwanej przecie na czoło jako arcydzieło jej twórcy, a nawet „na terenie literatury wszechświatowej", „stające obok najwybitniejszych, najtęższych dzieł swego okresu" (Z. Szweykowski; za nim inni; przy tym na tymże terenie „realizm... w ujęciu tym... jakie mamy w „Lalce" stanowi oryginalny dorobek Prusa"...). Tego śmiałego twierdzenia najtrudniej chyba będzie dowieść w zakresie kompozycji; zarówno pod względem minimalnej jedności akcji gubiącej się w dowolnie przyciągniętych epizodach, jak i pod względem „wytrzymania charakteru" głównego bohatera wśród tych epizodów. Dopiero w drugiej połowie powieści przychodzi, z wielkim opóźnieniem, od dawna wyczekiwane napięcie dramatyczne; całość zaś konstrukcji przypomina nam dziś, — gdy w stulecie urodzin Prusa, a w dwadzieścia lat po śmierci Żeromskiego, posiadamy dostateczny dystans dla bezstronnej oceny jednego i drugiego — powieści Żeromskiego, co jak wiadomo nie może być uważane za komplement. Istotny spadkobierca sztuki powieściopisarskiej Prusa, bliski mu poza tym wielu stronami swego światoodczucia (wyostrzony altruizm, obsesja wszechcierpienia**) i jeśli nie ideologią to przynajmniej swą formacją społeczną (wiejska, uboga strzecha szlachecka, analogie biograficzne w zakresie studiów i ciężkiej młodości; pokutujący szlachcic w radykalno-inteligenckich kołach młodzieży odpowiednich czasów), Żeromski nie jest rekomendacją dla swego pod tym względem mistrza.

Jeszcze żałośniej wyda się ten aspekt Prusa w porównaniu ze sztuką jego współtowarzyszy; Orzeszkowej, z jej surową, aż nadto schematyzującą rzeczywistość architektoniką powieści, wywodzącą się z wielkich zarysów sztuki romantycznej; Sienkiewicza, z jego nieporównaną łatwością afabulacji, z jego umiejętnością wprowadzenia czytelnika in medias res, co stanowi główne novum jego powieści, główny atut w zwycięstwie nad „wielkim bajarzem" poprzedzających pokoleń, Kraszewskim, jeśli chodzi o zdobycie najszerszych warstw czytelniczych „powieścią przykuwającą". Można by na usprawiedliwienie Prusa wysunąć, że Sienkiewicz, a zwłaszcza Orzeszkowa, o wiele więcej napisali długich powieści, przez co doszli do wprawy. Ale Prus, który góruje chyba nad nimi ilością napisanych nowel i „obrazków", nawet w tych ciasnych ramach małej narracyjnej formy zdradza stanowczo niezdolność lub niechęć — bo posiadamy inne przykłady kompozycji — do „zamkniętej budowy". Nawet w tak skądinąd wartościowych utworach jak „Antek", „Michałko", „Grzechy dzieciństwa", mamy mnóstwo figur, epizodów, spostrzeżeń, które tak jak powstały bez koniecznego związku z zasadniczą fabułą utworu, tak samo mogłyby być niespostrzeżenie usunięte, a same opowiadania przerywają się w dowolnym punkcie, tak jak mogłyby być dowolnie kontynuowane.

*) Początek w numerze 35 „Odrodzenia".

**) Jakby dla podkreślenia tej analogii, zaraz na początku „Lalki" rzuca się w oczy spacer Wokulskiego na Powiśle i jego boleśnie altruistyczne wrażenia, przypominające odwiedziny ulicy Ciepłej i jej nędzy przez Judyma. Zresztą w ramach neoromantyzmu wpływy Orzeszkowej na całość sztuki poetyckiej Żeromskiego są o wiele znaczniejsze.

4

Jeśli przy tak uroczystej okazji występuję w sprawie wartości artystycznych u Prusa jakby a d v o c a t u s d i a b o l i w procesie kanonizacyjnym, to wcale nie z szatańskiej ku niemu nienawiści, tylko dla „dezautomatyzacji" jego oceny i przeniesienia uwagi czytelnika z przecenionych na niedocenione aspekty i odcinki jego dzieła. Tak, atakuję realizm Prusa, a już specjalnie kiedyś sprzeciwiłem się nieznośnie stereotypowemu rozczulaniu się Prusa nad Warszawą*); w ogóle uważam że nie należy przesadzać ze znaczeniem tematyki urbanistycznej jego utworów, obrazów miasta i ludności miejskiej. Właśnie na ujęciu tej tematyki (istotnie chętniej podejmowanej przez Prusa niż przez kogokolwiek z jego współczesników czy poprzedników i ogromną część jego dzieła zajmującej) najwięcej może zaciążył wpływ Dickensa, przychodzący z gotowymi wzorami ze społeczeństwa w swej strukturze demograficznej gruntownie zurbanizowanego.

Humorystyczno-sentymentalne karykatury miejskie, którymi są przepełnione zwłaszcza wcześniejsze utwory autora „Pałacu i rudery", posiadają niewątpliwie mniejszą wartość oryginalności i mniejszą wartość dokumentu ludzkiego niż, choćby tą samą metodą wykonane, charakterystyczne sylwetki ilustrujące satyrycznie stosunki społeczne na wsi, stosunki niewątpliwie swoiste i autentyczne (choćby w „Antku" niepiśmienny wójt, nauczyciel-nędzarz, uczący biciem i to dopiero za łapówki, bezskuteczna walka z analfabetyzmem, bezradna wobec ciemnoty). Melodramatyczność obrazków miejskich uwydatnia się tym bardziej w porównaniu z sucho zrelacjonowanymi groźnymi i odrażającymi stronami życia wiejskiego (w „Antku" spalenie chorej dziewczynki przez znachorkę; dola parobka chłopskiego w „Placówce"; dola nieślubnego dziecka tamże i w „Grzechach dzieciństwa"). Są to istotnie niespotykane przedtem jaskrawości realizmu, nieprześcignione długo przez naturalizm i modernizm polski, rzadko występujące w obrazach życia miejskiego (czeladnik-alfons w „Michałku", ale i to jest zasadniczo opowiadanie o człowieku wiejskim, odpadku ekonomicznego przewrotu wsi polskiej **).

Nawet jeśli chodzi o krajobrazowanie, to pomimo dziwności, jest ono u Prusa, gdy chodzi o wieś, zdumiewająco sugestywne, mimo że — jak tego wymaga doskonałość techniczna realizmu powieściowego — niezauważalne, materialnie prawie nie zajmujące miejsca w tekście. Czarowna, związana z przeżyciami dzieciństwa poezja zapuszczonych ogrodów (w „Grzechach dzieciństwa" i w „Anielce"), jadowita groźba zapadłego kąta w malarycznej miejscowości (odludny folwarczek w tejże powieści) — oto przykłady trwałej sugestii zespołów pejzażowych, którym nie ma nic równego w obrazach miejskich Prusa. Kto wie, czy — jeśli przyjmiemy wyjaśnienie agorafobii dla ubóstwa opisowości i deformacji krajobrazowej Prusa — nie należy przypuścić, że w swoich utworach opartych na tematyce wsiowej operuje on zapasami wrażeń nagromadzonych w dzieciństwie sielskim, jeśli nie anielskim, zanim wspomniane cierpienie nie zaczęło się ujawniać, uniemożliwiając mu normalne oglądanie przestrzennego świata; byłby on więc jak oślepiony, opisujący świat wspomnieniami czasu, gdy jeszcze widział.

Wszystkie posiadane warunki, żeby być realistą, skupił Prus pisząc powieść o chłopie jako o strażniku ziemi; powieść tę poprzedziły cenne pod wielu względami, jak widzieliśmy, choć luźne kompozycyjnie studia z życia ludu. W „Placówce" zdobył się on nawet na wystarczająco zwartą i zamkniętą budowę utworu; potrafił w nim czytelnie a zarazem dyskretnie, nie naruszając autonomii wartości artystycznych, wypowiedzieć swe poglądy społeczne w sprawach objętych tematem; potrafił wreszcie pohamować, tyle ile to jego twórczemu przyrodzeniu było dostępne, skłonność do poddawania się dalekim, ale zawsze w jego twórczości czynnym filiacjom humorystyczno-sentymentalnym: otrzeć spojrzenie z łez i zdobyć się na niezbędną w dziele realizmu powieściowego porcję „serio"; usunął nawet natrętną obecność osoby trzeciej, wdzierającej się pomiędzy czytelnika a przedstawianą rzeczywistość, tj. samego autora, nakazując mu dyskrecję i obiektywizm. Napisał pierwszą, właściwie mówiąc, powieść realistyczną o ludzie polskim, gdyż jego znakomici poprzednicy, a więc Kraszewski przede wszystkim, a za nim Jeż, pisząc o chłopach, potrafili wprawdzie odrzucić konwencje idylli klasycznej, żywotne jeszcze we wczesnym romantyzmie, ale opisywali lud etnograficznie niepolski. W „Placówce" obraz chłopa, dający się zlokalizować w przestrzeni i w czasie, posiada ponadto rysy wchodzące w niezmienne i powszechne oblicze wieśniaka polskiego; a jak jest trudny do prześcignięcia, dowodzą „Chłopi" Reymonta, dzieło tyle zawdzięczające tematycznie „Placówce" (z wyjątkiem swej dekoratywności i krzepy erotycznej), a malujące bliski chronologicznie etap rozwoju wsi polskiej, jak tego dowodzi szczegółowsza analiza użytych tam realiów. Tak więc nawet uwieńczone nagrodą Nobla dzieło nie jest, jako synteza artystyczna chłopa polskiego, czymś zupełnie samodzielnym i zdolnym do ubiegania się o wyższość w kategoriach rozwoju realizmu powieściowego w Polsce — w porównaniu z arcydziełem Prusa.

Takie chyba stanowisko w dziele jego twórcy należałoby*) przyznać tej ostatniej i najobszerniejszej z serii krótszych powieści lub, jeśli kto chce, pierwszej i najkrótszej w szeregu wielkich. Wszystkie dotychczas tu wspomniane z aprobatą utwory pochodzą z krótkiego, niewiele ponad pięć lat liczącego okresu twórczości Prusa, poprzedzającego publikację „Placówki". Ten okres, w którym początek większych utworów powieściowych stanowi „Anielka", poprzedzona może paru mniejszymi, godnymi uwagi (jak np. „Przygoda Stasia"), jest okresem meteorycznego rozbłyśnięcia talentu Prusa, szczęśliwym okresem, w którym wszystko się sumuje w harmonijne pod względem artystycznym osiągnięcia; uczuciowość autora i jego intelektualne zainteresowania; inercja dawnego wyboru w dziedzinie upodobań literackich („sentymentalizm" w najlepszym i najszerszym historyczno-literackim sensie tego słowa**) i wpływy najświeższych powiewów mody literackiej (naturalizm); przyrodzone dyspozycje i zdolność zadośćuczynienia postulatom sztuki nie leżącej wśród przyrodzonych skłonności autora. Tak, w tej szczęśliwej epoce umie się on zdobyć na zwartą budowę, na potrzebną kompozycję utworu. Aż zanadto jest ona widoczna, ocierając się o schematyzm tendencyjności, w „Powracającej fali"; utwór ten jednak i do dziś (nie mówię o jego prekursorstwie w zakresie podniesienia sprawy robotniczej) nie pozbawiony wymowy społecznej ani sugestywności uczuciowej, nie tylko ze względu na chronologię należy do dzieł, które wspomnieć wypada: bowiem i w nim również gra pewną rolę to, co stanowi główne novum twórczości Prusa: nie dostrzeżone bodaj przez jego współczesników właściwości jego psychologizmu.

Mam na myśli opis (niekoniecznie zresztą z punktu widzenia fabularnego), opis przeżyć na granicy snu i jawy zasypiającego ze zmęczenia przy maszynie robotnika, któremu za chwilę, gdy zwycięży senność, maszyna urwie rękę. Fabuła zadowoliłaby się zaprotokołowaniem faktów. Ale ciekawość Prusa, u którego, jak widzieliśmy, dość rzadko znajdziemy porządnie wytrzymany charakter, wyraziście i zgodnie z prawami psychologii artystycznej przeprowadzony proces ścierania się namiętności, determinujący decyzje „dobrze postawionych" postaci, ciekawość Prusa nęcą nade wszystko stany psychiczne na progu lub przed progiem świadomości: sny, których mamy mnóstwo, a które czasami są uzasadnieniem fantastyki całych utworów, przeżycia istot niezdolnych sobie ani tym bardziej nam, zdać z nich sprawy. Umie on skierować spojrzenie pełne domyślności i wnikliwości w dusze bardzo odmienne od duszy człowieka dorosłego, w pełni władz umysłowych; przypomnijmy sobie (z opowiadania należącego również do omawianego teraz okresu: „Szkatułka babuni") przekonywający (a zarazem wzruszający — swoistość Prusa!) obraz zamętu świadomości starczej. Najchętniej jednak zagląda on w dusze dziecinne, na różnym stopniu rozwoju stojące, na różny sposób przeprowadzając swe studium. Posiłkując się zdobyczami psychologii naukowej i rozpoczynającej za jego mniej więcej czasów swój rozwój psychologii doświadczalnej, maluje rozbudowę świadomości noworodka („Przygoda Stasia"); w rozmowie Ślimaka z synami szkicuje paru trafnymi rysami animistyczno-mitologizujące spojrzenie na świat pięcioletniego dziecka, a obok upraszczający racjonalizm dwunastoletniego podrostka*); zbiera po prostu wspomnienia z pewnego etapu rozwoju chłopca („Grzechy dzieciństwa"); czasem cały prawie większy utwór — i tu należą najświetniejsze osiągnięcia jego talentu „Anielka" i „Omyłka" — jest przełamaniem rzeczywistości poprzez pryzmat dziecinnych oczu.

Podobnież interesują go dusze prostaków, niekiedy upośledzonych umysłowo, proporcjonalnie do upośledzenia społecznego (Michałko, parobek z „Placówki"). Wydaje się nawet czasem, że, jak na postulaty demokracji, spojrzenie to jest skierowane zanadto z góry, dusze te są prawie odczłowieczone, co się dzieje nieraz aż ze szkodą prawdopodobieństwa takich istot ludzkich, z rzadka tylko zaopatrywanych w ogólnoludzkie przeżycia (np. szczęście Michałka, gdy na chwilę wydaje mu się, że ma swoją dziewczynę; sen Owczarza). Jest to jakby spojrzenie pisarza animalisty, wnikającego w duszę zwierzęcia: jakoż, choć rzadko, sięga on i w tę dziedzinę, i taki Karusek z „Anielki" wart jest sam jeden wszystkich psów i wszystkich zwierząt Dygasińskiego.

Ale temu spojrzeniu z góry nie przestaje towarzyszyć czułość. Altruistyczna wyobraźnia odpowiednio hiperbolizuje ich drobne, obiektywnie biorąc, cierpienia, i wzruszenie czytelnika, współczucie dla niezawinionych nieszczęść tych istot, nie zostały osłabione ani przez przedział lat, dzielących nas od powstania utworu, ani przez ewolucję techniki artystycznej, ani przez ich wielokrotne odczytywanie, ani realnie przez o wiele potężniejsze cierpienia i okropności, których byliśmy świadkami. „Anielka" i do dziś wyciska łzy z niepohamowaną siłą, a znaczenie jej artystyczne, historyczno-literackie i historyczno-kulturalne mieni się i rozrasta. Co było w niej satyrą, dziś jest elegią, analogiczną do „Wiśniowego sadu" Czechowa, epitafium nad światem jeszcze bardziej w przeszłość i nicość zapadłym, nie tylko ze swoistą kulturą obyczajową, lecz i ze swoistą kulturą uczuciową. I żywe wartości tej kultury przemawiają ze stronic utworu, który pod względem historyczno-literackim jest (razem z całą omawianą grupą utworów Prusa, razem nawet z jego specjalnym zainteresowaniem psychologią i psychofizjologią dzieciństwa i podświadomości, tak aktualnym dopiero w ostatnich dziesięcioleciach) kontynuacją „sentymentalizmu" i stworzonego przezeń specjalnie na gruncie angielskim powieściopisarstwa. Jeśli przyjmiemy jakieś trwałe i autonomiczne, obok innych ponadczasowych prądów, istnienie tego nurtu, wychodzącego na powierzchnię literatury w różnych krajach w różnych epokach — moglibyśmy „Anielkę" nazwać (stylem reklam filmowych) „arcydziełem sentymentalizmu wszystkich czasów".

Po tym meteorycznym rozbłysku talentu Prusa następuje epoka jego wielkich powieści. Czytelnicy widzieli jaki jest mój sąd o „Emancypantkach" i „Lalce", który należałoby oczywiście uzasadnić szerzej wobec jego sprzeczności z oceną „oficjalną". Na to nie ma miejsca. Dlatego też wolę nie dotykać wcale sprawy „Faraona", ocenianego najrozbieżniej chyba spośród wszystkich wielkich dzieł Prusa: gdy dla jednych jest to zdecydowanie jego arcydzieło, inni sprowadzają powieść do znaczenia rekonstrukcji archeologicznej, jakich sporo dali współcześni Prusowi uczeni, zastosowanej do wykładu teorii społeczno-politycznych naszego pisarza. W każdym razie, jeśliby to miało być arcydzieło powieściopisarza-realisty, za jakiego w oczach tychże admiratorów Prus uchodzi, byłby to bardzo szczególny realizm i bardzo szczególna jego manifestacja w formie czysto spekulatywnej czy erudycyjno-intelektualnej konstrukcji, „na niewidzianego", bez tej „wizji lokalnej", którą Flaubert uważał za niezbędną dla stworzenia swej „Salammbô".

Na zakończenie swej egipskiej fazy zainteresowań Prus pisze prześliczną raczej „balladę prozą" niż nowelę, balladę, przywodzącą na myśl ballady Schillera, osnute na tematach antycznych, „Z legend dawnego Egiptu". Jest to może jedyna manifestacja Prusa-poety, bardzo rzadko, zawsze wstydliwie objawiającego skłonności do poezji w węższym znaczeniu słowa. Mimo to z tego punktu widzenia, z punktu chwytów poetyckich, styl jego wraz z jego dziwnościami, niekoniecznie, jak mi się zdaje, patologicznymi, wart jest przestudiowania. Ujawniłoby to może jeszcze jedną prekursorską czy nowatorską stronę jego działalności, tak bardzo na ogół przeciwstawnej, i rzeczywiście obcej mającemu na-

*) We wspomnianych uwagach o „Emancypantkach". Tu muszę wyjaśnić, że jeśliby istniał taki syntetyczny obraz Warszawy, to musiałby z natury rzeczy być zamazany jak fotografia zbyt długo przed obiektywem eksponowanego, poruszającego się przedmiotu. W dwudziestopięcioleciu choćby 1866—1891, to jest od poznania Warszawy przez Prusa do początku publikacji „Emancypantek", Warszawa zdwoiła ludność i zmieniła swój charakter (ze stolicy Kongresówki miasta zasadniczo urzędniczo-rzemieślniczego na gubernialne miasto „Kraju Prywiślińskiego", przemysłowo-handlowo-robotnicze), niemniej niż od śmierci Prusa w 1912 do 1937. A czyż dla tego ćwierćwiecza jest możliwy syntetyczny obraz Warszawy, odpowiadający jej charakterowi Warszawki w 1912 r. i stolicy mocarstwowej Polski w 1937?

**) Epizod ten jest jednym, obok snu Owczarza w „Placówce", z rzadkich u Prusa wypadków przełamania właściwej jemu i jego pokoleniu pruderii, o wiele silniejszej niż u romantyków, u niego indywidualnie większej niż u Orzeszkowej czy Sienkiewicza.

*) Lecz nie należy, ze względów, których nie poruszam: przeciwnie należy przeciwdziałać jej zbytniej popularności.

**) Uzasadniam obszerniej w swoich uwagach o „Emancypantkach" związywanie rodowodu Prusa poprzez Dickensa ze Sternem, Fieldingiem, Richardsonem, z ich humanitaryzmem, moralizatorstwem, łzawością, humorem i swoistym realizmem, ryzykując twierdzenie, że przy ogólnym opóźnieniu naszej kultury sentymentalizm u Prusa wyżywa się dopiero teraz w pełni, wydając właściwą sobie powieść. Wszystko, z czym dla historyka literatury skojarzyło się pojęcie sentymentalizmu — palpitacja uczuciowa, czułość i czułostkowość, ale zarazem ciekawość sięgająca w mroki rodzenia się uczuciowości, w jej najdalsze od sztywnych norm formy, najpokorniejsze przeżycia prostaków, dzieci, istot upośledzonych, zwierząt, tylko tkliwym okiem dające się wykryć w przyziemnej codzienności; a więc — „psychologizm" i realizm „subiektywny", uniewinniający się uśmiechem; humorystyczny „śmiech przez łzy" — wszystko to w sztuce Prusa zjawia się ostatecznie w wysublimowanej postaci, jako konsekwencja długotrwałego rozwoju (niby jak „gotyk płomienisty" późnego średniowiecza), przefiltrowanej przez następujące po sobie kolejno pokłady dusz szczególnie wrażliwych, jak dusza Dickensa i jego angielskich poprzedników.

*) Umyślnie obniżam wiek chłopców podany przez autora, żeby ich psychikę sprowadzić do zwykłych norm, które jednak nie mogły być osiągnięte w odpowiednich latach, przy ich rozwoju w rodzinie mieszkającego na odludziu chłopa.

stąpić jeszcze za jego życia rozkwitowi liryki i stylu lirycznego, rozkwitowi bardziej pozornemu niż rzeczywistemu, i nie korzystającemu zupełnie z wynalazków Prusa. Ale Prus, w tym okresie literatury, ani nie brał udziału w ruchu młodych ani nie kontynuował w sposób godny uwagi swej działalności powieściopisarskiej: parę ustępów z „Dzieci“ jest wyjątkiem potwierdzającym ogólne twierdzenie. Brakowało mu jeszcze kilku lat do siedemdziesiątki, gdy umierał; w tym wieku Tołstoj, Turgeniew pisali jeszcze wspaniale; ale linia zstępująca twórczego talentu Prusa od lat co najmniej dwudziestu pięciu nie podlega chyba żadnej wątpliwości, w świetle zestawionych tu faktów.

KONKLUZJA

Sumując spostrzeżenia, poczynione nad każdym z trójcy powieściopisarzy z osobna, widzimy że przede wszystkim trzeba ich pozbawić epitetu „pozytywistyczni“: w bardzo wyraźny i niewątpliwy sposób twórczość wszystkich trojga jest reakcją przeciwko temu ruchowi umysłowemu, którego zresztą największe nasilenie przypada na lata poprzedzające rozkwit ich działalności. Reakcja ta u każdego z nich przybrała odmienne formy: zgodnie jednak występowała po stronie tradycji, rozmaicie pojętej, ale sprowadzającej się zawsze do obrony ideałów moralnych i społeczno-politycznych legowanych przez wielką poezję polskiego romantyzmu. Prawda, było zrozumienie, iż w zmienionych warunkach życia ideały te wymagały readaptacji: ale świętość ich miała pozostać nienaruszona. Jeżeli porównamy jeszcze postawę trojga powieściopisarzy ze współcześnie im działającymi przedstawicielami innych rodzajów literackich, zwłaszcza liryki (Asnyk, Konopnicka), to musimy stwierdzić ich solidarność pod tym względem i uznać, że ruch umysłowy, zwany pozytywizmem, pozostał u nas bez artystycznego wyrazu, że na płaszczyźnie literackiej przynajmniej, była to szybko stłumiona rewolucja, a więc, że samo wyodrębnienie „okresu pozytywistycznego“ w dziejach naszej literatury jest nieporozumieniem. Okres mickiewiczowski trwa do końca XIX wieku z ogonkiem, jak to miałem sposobność stwierdzić *), podchodząc do sprawy z innej zupełnie strony. Modyfikacje w zakresie rozwoju form artystycznych, tematyki i ideologii nie przekraczają norm nieuchronnej ewolucji i wpływów obcych, jakie można obserwować zawsze wewnątrz pewnego okresu literackiego, a w naszym także przypadku na przestrzeni czasu od wystąpienia Mickiewicza po upadek powstania styczniowego.

Synchronizm rozkwitu talentów wszystkich trojga powieściopisarzy, skupienie ich najwybitniejszych — tryumfujących po próbie czasu — dzieł na bardzo krótkim odcinku jednego dziesięciolecia najwyżej (u Orzeszkowej przekraczające nieco te ramy, za to u Prusa, zgodnie z moim wyłożonym tu poglądem, nie o wiele wychodzące poza pięciolecie), stwarza iluzję rozkwitu jakiejś szkoły pisarskiej, w której nie bezpodstawnie domyślać się możemy szkoły realizmu powieściowego. Ale czy można mówić o szkole gdy zestawimy ze sobą, na przestrzeni pięciu lat zrodzone, trzy takie, nieśmiertelne każde z osobna, utwory: „Meir Ezofowicz“, „Anielka“, „Ogniem i mieczem“ Przy tym ani poemat Orzeszkowej, ani sentymentalna powiastka Prusa, ani „baśń dziejowa“ (jak się teraz chętnie mówi) czy „romans awanturniczy“ Sienkiewicza nie mogą chyba pretendować do reprezentowania powieści realistycznej. Widzieliśmy w naszym przeglądzie, jak poważne wątpliwości budził tytuł realisty w stosunku do każdego z tych pisarzy. Tryumf realizmu powieściowego utrwaliłby u nas ten rodzaj literacki, w najgorszym razie, w braku równych talentem następców, dałby podstawy masowej, na wpół mechanicznej produkcji tego „przedmiotu codziennego użytku“ i „pierwszej potrzeby“, jakim, na równi z papierosem, jest powieść. Tak się dzieje gdzie indziej, we Francji, w Anglii, w Rosji, gdzie produkcja powieściowa jest właściwie niezależna od przypadkowości talentów i kierunków literackich. U nas, mimo wybitnego usprawnienia techniki powieściopisarskiej, co jest zasługą Sienkiewicza, sam on pozostał bez następców *): dopiero za naszych czasów zjawiła się jego kontynuatorka, Zofia Kossak. Orzeszkowa wróciła w swych ostatnich opowieściach („Gloria victis“) do na wpół lirycznego, romantycznego sposobu opowiadania, przejęła się neoromantyzmem (gdzie zresztą nie podniosła wydatnie poziomu powieści) i stworzyła pomost między nim a romantyzmem, z którego wyszła; jej najbliższa kontynuatorka, Rodziewiczówna, daleka jest chyba od tego optymalnego połączenia zalet ideologiczno-myślowych, kompozycyjnych i wysokiej „poezji“, przenikającej całość, które znajdziemy w jej najlepszych utworach. Widzieliśmy, kto był spadkobiercą Prusa w powieści, a jego istotne nowatorstwo psychologiczne i stylistyczne (nie stanowiąc zresztą spadku, który by realizm powieściowy przyjąć był obowiązany tak samo, jak metody rozwijania akcji, wyszukiwania chwytami retrospektywnych spojrzeń, cofania się w tył, pośrednich relacyj od osób działających), dopiero w naszych czasach mogłoby być zauważone i spożytkowane. Rozkwitający w ostatnich piętnastu latach realizm powieściowy może się niewątpliwie powołać na znakomitych przodków, ale dorabiał się własnymi siłami.

K. W. Zawodziński

*) Pomijam jego demoralizujące wpływy, zwłaszcza na terenie opowieści batalistycznych i patriotycznych: miałem w ręku niedawno „Legendy żołnierskie“ dla młodzieży, pisane wkrótce po wojnie 1920 r. Jest to hagiografia bohaterów w ujęciu Zagłoby, cynika i łgarza. Najnaiwniejsze średniowieczne legendy nie dają wyobrażenia o równie uproszczonym sposobie interwencji równie głupich świętych, oddanych wyłącznie posługom na rzecz polskich petentów.

KONRAD WINKLER

Jeszcze o ludowym mecenacie sztuki

Zamierzeniem czynników miarodajnych jest stworzenie państwowego mecenatu sztuki, ponieważ wskutek przemian w strukturze społeczno-gospodarczej państwa, dawny, prywatny mecenat indywidualny należy uważać dzisiaj za nieistniejący. Dawni odbiorcy sztuki — zamożny finansista, przemysłowiec, czy właściciel ziemski — nie ukażą się już dzisiaj w pracowni artysty. Projekt takiego mecenatu państwowego nie da się jednak z przyczyn gospodarczych wprowadzić w życie w najbliższych miesiącach, a nawet latach.

W jakich warunkach żyją dziś artyści w Krakowie? Stoją oni w jednym szeregu z bezrobotnymi. Zaledwie 3% ma własne, lub wynajęte pracownie malarskie i rzeźbiarskie — dalszych 8% osobne pokoje, nadające się jako tako do pracy — reszta zaś nie ma widoków na zarobkowanie, gnieżdżąc się najczęściej „kątem“ u obcych lub krewnych. W jeszcze gorszych warunkach wegetują plastycy w Warszawie, po stracie swego mienia osobistego i twórczego dorobku. Owego niepokojącego stanu w sztuce nie zmieni zasadniczo zakup kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu płócien w ciągu roku przez departament plastyki dla zbiorów państwowych.

Nadchodzi jednak czas, kiedy niedomaganiom, które fatalnie odbić się mogą na naszej kulturze, należy położyć kres. W życiu społeczeństwa artysta jest czynnikiem, któremu należy umożliwić danie wszystkiego, do czego powołuje go talent, wiedza i poczucie łączności z narodem. Zapewnienie mu takich warunków egzystencji, by nie głodował i nie był zmuszony szukać źródeł utrzymania w zajęciach ubocznych, jest obowiązkiem tej właśnie warstwy społecznej, która stała się dziś gospodarzem kraju.

Znamienny proces przechodzenia władzy i inicjatywy z rąk jednostek w ręce ugrupowań społecznych — znaleźć musi swój ideowy odpowiednik także w strukturze mecenatu, w systemie opieki materialnej i poparcia moralnego udzielanego pracownikom kultury. Dzisiaj jedynym konsekwentnie i racjonalnie działającym mecenasem sztuki może być tylko grupa społeczna działająca bezpośrednio lub za pośrednictwem swych związków i stowarzyszeń zawodowych, jako rzeczników związanych wspólną ideologią ugrupowań społecznych.

Z tych właśnie ideowych przesłanek zrodził się projekt ludowego mecenatu sztuki. Nowy mecenat polega na kolektywie, na akcji zbiorowej. Każdy członek związku zawodowego i Związku Samopomocy Chłopskiej składać będzie 1 zł miesięcznie na cele artystyczne, co — wobec siedmiomilionowej masy zrzeszonej w tych organizacjach społecznych — przyniesie znaczną stosunkowo sumę na zakup dzieł sztuki dla świetlic, klubów, czytelni itp., przy czym dzieła te będą następnie służyły jako premie i nagrody dla poszczególnych członków tych organizacyj do wyboru i za zgodą wyróżnionego pracownika (za zrzeczenie się premii pieniężnej), bez żadnej dopłaty. W ten sposób nabyte przez wspomniane organizacje dzieła sztuki odbywać będą wędrówkę z lokalów publicznych do mieszkań prywatnych robotników, chłopów i inteligentów pracujących. Będzie to zatem konkretne uspołecznienie i upowszechnienie sztuki w ogólnopolskiej skali — masy zaś przyjmą ów pomysł niewątpliwie życzliwie, tym bardziej, że wartość materialna wybranego dzieła sztuki będzie niewspółmiernie wyższa od przyznanej nagrody pieniężnej czy premii.

Podobnie zorganizowana będzie podaż drukowanego słowa dla mas ludowych. — Na pomoc dla literatów przeznacza mecenat ludowy (Fundusz Kultury) 10% ogólnej sumy składek, który otrzymywać będzie jedna ze spółdzielni wydawniczych na wydawnictwa zbiorowe dzieł dawnych i współczesnych autorów. Dzieła te popularnie opracowane, lecz wydane w estetycznej szacie zewnętrznej, przeznaczone będą na nagrody i premie dla członków organizacji zawodowych (w zamian za premie pieniężne). Sumy z niepobranych nagród i premii pieniężnych pokrywać będą częściowo (w 50%) cenę wydawnictwa, resztę zaś potrąci sobie spółdzielnia wydawnicza z przekazanego jej przez mecenat dziesięcioprocentowego zasiłku dla literatury.

W ten sposób członkowie związków zawodowych i Samopomocy Chłopskiej zyskają, tanim stosunkowo kosztem, piękną i pożyteczną lekturę — co z czasem doprowadzi do tworzenia się miniaturowych bibliotek domowych wśród rzesz pracujących. Spełnią się wówczas marzenia naszych wielkich pisarzy: ich księgi zabłądzą pod strzechy...

Nasz aparat wydawniczy będzie nastawiony na produkcję książki dla mas — książki, która musi być dobra, piękna, tania i... potrzebna. Wybór dzieł zadecyduje o obliczu duchowym mas, a w znacznej mierze i o losach naszej kultury. Od trafnego rozwiązania spraw tego wydawnictwa zależeć również będzie jego powodzenie finansowe i dalszy jego rozwój, który w warunkach nowego ustroju zmienić może wczorajszą utopię w tak długo przez nas oczekiwaną, najprawdziwszą rzeczywistość. W tej sferze oczekiwać nas może wiele niespodzianek i tylko od nas samych zależy, by ową przepaść, która dzieli jeszcze dzisiaj człowieka od człowieka, wyrównała ofiarna praca społeczna inteligenta i dobra wola człowieka z ludu...

Nie wdając się zbytnio w szczegóły, zaznaczyć tylko wypada, że książki dla takich bibliotek domowych — to przede wszystkim wznowienia literackie. W dziedzinie wznowień klasyków literatury istnieją dostatecznie ścisłe i obiektywne kryteria, aby planowanie wydawnicze mogło ustalić nie tylko zasadniczy charakter wydawnictwa, lecz także hierarchię ważności, decydującą o kolejności ukazywania się poszczególnych tomów.

Nie można jednak pominąć bieżącej produkcji literackiej. Różnicowanie typów książki odbywać się musi pod kątem widzenia potrzeb czytelnika, zachować jednak należy najdalej idące aspiracje kulturalne.

I jeszcze jedno. Czas wreszcie skończyć z tymi „kwadransami dla wsi“, z trywializowaniem najszlachetniejszych myśli i uczuć naszych klasyków. Wiemy już z doświadczenia, że ta tworzona sztucznie literatura „dla ludu“ nigdy jeszcze nie zdołała wychować jakiejś warstwy kulturalnie twórczej. Nowa polska inteligencja musi przejąć całe dziedzictwo tradycji, warunkujące kulturalny rozwój nowego człowieka

Aby jednak te piękne projekty weszły rzeczywiście w stadium realizacji, niezbędne jest współdziałanie świata sztuki i literatury w kierunku kulturalnego uświadamiania mas, co pociągnie za sobą potrzebę dostosowania do nowych warunków podstawowych form naszego życia artystycznego. Plastycy i literaci muszą się zobowiązać do pracy społecznej w środowiskach swych nowych odbiorców — muszą wejść w lud pracujący z pogadankami i odczytami z dziedziny sztuki i literatury. Należy skończyć wreszcie ze społeczną izolacją artysty, z nieodpowiedzialnym trąbieniem w próżnię. Art. 14 projektu mecenatu dla plastyków powiada, że „zrzeszeni w swym związku zawodowym artyści-plastycy, z wyjątkiem tych, którzy pracują w uczelniach artystycznych, tudzież w urzędach podległych Ministerstwu Kultury i Sztuki, oraz z wyjątkiem chorych i starszych wiekiem artystów — muszą się zobowiązać do wygłoszenia w ciągu roku co najmniej dwóch odczytów czy pogadanek z dziedziny sztuki. Odczyty te będą opracowane przez zawodowych krytyków i teoretyków sztuki... chodzi jednak o to, by je wygłosił fachowy plastyk, który w razie potrzeby może udzielić słuchaczom odpowiednich wyjaśnień...“ i dalej „Uchylanie się od tej ważnej pracy społecznej — spowoduje wykluczenie danego plastyka z korzyści płynących z zakupów dokonywanych przez Fundusz Kultury“.

Mecenat ludowy (oficjalna nazwa: Fundusz Kultury) ma być odrębną instytucją podległą jedynie C. K. Z. Z. i zarządowi głównemu Związku Samopomocy Chłopskiej w Warszawie. W stolicy będzie również kierownicza centrala mecenatu. Gdy wszystko buduje się od podstaw, gdy stajemy po raz pierwszy przed zadaniem wyprowadzenia naszej kultury na jak najszersze forum, gdy mamy wychowywać nowego czytelnika, słuchacza i widza — centralizacja ta jest konieczna. Natomiast zakupy dzieł sztuki nie będą scentralizowane i będą się odbywały dwa razy w roku w każdym okręgu wojewódzkim, na wiosnę i w jesieni. — Muzyka również objęta nowym mecenatem w 10% ogólnej sumy składek — otrzyma swą część na zabezpieczenie bytu muzyków twórczych, tj. kompozytorów.

Tak wyglądają projekty mającego niebawem powstać Funduszu Kultury, którego zadaniem będzie organizacja powszechnego uprzystępnienia masom dóbr kulturalnych.

Konrad Winkler

*) „Czterdzieści lat z Kochanowskim“ w majowym zeszycie „Twórczości“.

MALARSTWO POLSKIE

TADEUSZ MAKOWSKI (1882—1932) Koncert dzieci

STANISŁAW MACKIEWICZ (CAT)

Tajne memoriały generała Sikorskiego

OD HELSINGFORSU DO BORDEAUX

Armie sojuszników (w czerwcu 1940 r.) zostają przepołowione przez naciskające siły niemieckie. Wojska angielskie znajdują się przeważnie w części północnej, odciętej od frontu francuskiego. Zważmy, że Norwegia już jest przez Niemców opanowana, a bieg armii niemieckich ku kanałowi La Manche nasuwał przekonanie, że Niemcy będą atakować Londyn, może jeszcze przedtem niż Paryż. W tych warunkach Anglicy przystępują do operacji, znanej pod nazwą Dunkierka. Oto załadowują przeszło 200 000 ludzi na statki wszelkiego rodzaju i przewożą ich z powrotem na wyspę. Wywołuje to oburzenie Francuzów a jednak jest to zrozumiały odruch przezorności i patriotyzmu, bronienia przede wszystkim własnych interesów i własnej ziemi.

Należałoby, aby czytelnik polski wmyślił się w polityczną i psychologiczną istotę tego, co uzyskało imię Dunkierki i zrozumiał, jak różny jest rozumny i egoistyczny patriotyzm angielski od naszego pokazowego, wybuchowego i samobójczego. Dunkierka — a więc chęć zachowania swych sił a nie wyzbywanie się z nich wtedy, gdy wojna dopiero się zaczyna, a więc metoda wręcz odwrotna od tej, którą stosowali Polacy, którzy, jak tylko mieli jakieś siły, to tylko po to, aby je zniszczyć przy pierwszej okazji. Myśmy przecież nie tylko samobójczo wydali swą armię na zniszczenie Niemcom we wrześniu 1939 r., ale teraz, zaraz po Dunkierce, Sikorski każe polskim dywizjom bić się na froncie francuskim, nawet po **kapitulacji** Francji, a to dla „honoru żołnierza polskiego", choć zdaje się, że powinien był przede wszystkim starać się o przewiezienie jak największej siły polskiej do Anglii. Anglicy inaczej rozumieli „honor wojskowy": żołnierz angielski, ich zdaniem, nie był ekipą ludzi popisującą się brawurą na terenie międzynarodowym, lecz instrumentem obrony niepodległości swego kraju i użyty być może nie dla popisów honorowych, lecz wyłącznie i jedynie dla celowej obrony tej niepodległości. Toteż Anglicy zaczęli wojnę od Dunkierki, to jest od operacji, w której wykazali przede wszystkim dbałość o zachowanie swej siły militarnej. Myśmy wojnę zaczęli od wrześniowego samobójstwa, potem Sikorski pozostawił swoje dywizje we Francji, potem rozlewaliśmy krew polską i szastaliśmy resztkami siły polskiej, tak hojnie, jak tylko można w walce z podziemi, wreszcie dokonaliśmy ostatecznego samobójstwa w powstaniu warszawskim.

— — — — — — —

W dniu kapitulacji Francji chodziłem po rynku i uliczkach małego miasteczka Libourne, na południu Francji, gdzie przystanął w swej ucieczce rząd polski i Rada Narodowa. Białe filarki, na których opierały się zabudowania na rynku, przypominały mi strony rodzinne, tak bardzo kochane: Nowogródek, Słonim, Różanę. Brakowało tylko zapachu siana i wozów konnych, zamiast tego panował zapach benzyny i ścisk aut i uciekinierów: francuskich, polskich i belgijskich. Nie miałem wtedy szeregu ważnych wiadomości, nie wiedziałem...

— — — — — — —

Naród nasz wychowany na wspomnieniach wojen przegranych, klęskowych, miał spaczone pojęcie o wojnie. Nie rozróżniał wojny od ofiarnego całopalenia wszelkich narodowych dóbr materialnych, na kształt zbiorowego samopalenia starowierów w Rosji XVII wieku, lub hara kiri szlachcica japońskiego. Naród nasz nie rozumiał, że wojna jest po prostu instrumentem polityki narodowej, że wojnę należy prowadzić gdy jest celowa i gdy można ją wygrać, że należy jak najprędzej się z niej wycofać, gdy prowadzi do śmierci narodu. Wiedziałem, że nie mogę nic zrobić, reprezentując w społeczeństwie polskim tylko zdolność do przewidywania nadchodzących wypadków politycznych, czego Polacy nie cenią. Uważałem sobie jednak za obowiązek wypowiedzieć swój pogląd na sytuację wobec osoby, obciążonej odpowiedzialnością za losy Polski. Pamiętam dokładnie swe sformułowanie ówczesne. Powiedziałem: „Anglia będzie prowadziła wojnę długo, bardzo długo, być może nawet lat 15, wszystko zależy od tego, czy i kiedy uda się jej do tej wojny wciągnąć Amerykę i Rosję: — Anglia się obroni, ale nie będzie miała po wojnie już sił do narzucenia swej woli stanowi rzeczy w Europie Środkowej".

Tak się też stało.

— — — — — — — —

RZĄD POLSKI W CZASIE KATASTROFY FRANCUSKIEJ

I

Wydawałem w Paryżu tygodnik „Słowo", który miał być kontynuacją „Słowa" wileńskiego. Dnia 10 kwietnia zatelefonowałem do p. Strońskiego, ówczesnego naszego ministra propagandy, z zapytaniem, co sądzi o zajęciu przez Niemców Kopenhagi i Oslo.

— „Jest to ze strony Niemców akt rozpaczy", brzmiała jasnowidząca odpowiedź naszego ministra.

Polacy nie dopuszczali myśli, że za dwa miesiące rozpaczać będą właśnie Francuzi. Myśl taka byłaby profanacją ich uczuć najświętszych — wiary we Francję. Za ten optymizm zapłaciliśmy stratą naszych wojsk we Francji uformowanych.

Najmniej orientował się sam generał Sikorski. Dnia 29 maja generał Weygand przewidywał ewentualność kapitulacji. Dnia 4 czerwca generał Sikorski wygłosił przed Radą Narodową w Angers exposé o sytuacji wojennej. Rada Narodowa mieściła się w Angers, w hotelu „Pod białym koniem". Przyniesiono mapy do sali obrad, rozwieszono je na ścianie. Generał Sikorski włożył okulary, a wtedy twarz jego straciła sztuczną marsowość, stawała się starszą, poczciwszą i sympatyczną. Generał wyjaśnił nam przyczyny „niepowodzeń" francuskich i zakończył exposé informacją, że obecnie sytuacja jest nie tylko opanowana, lecz „odwrócona". Trzeba jednak przyznać, że jeśli się generałowi wyrwało jakieś spostrzeżenie bardziej realne, to zawsze się znalazł jakiś patriotyczny członek Rady Narodowej, który wtedy zauważał, że chyba przecież nie jest tak źle i dobry generał się zgadzał.

Nigdy niewłaściwość połączenia w jednym ręku urzędów naczelnego wodza i premiera nie dała się tak odczuć, jak za czasów katastrofy francuskiej. Generał Sikorski chce odwiedzać polskie dywizje na froncie, chce mieć kontakty polityczne w Paryżu, to znów zabiega o widzenie Weyganda, to powinien przewodniczyć rządowi w Angers. W rezultacie jest zupełnie rozlatany i nic nie rozumie z tego, co się naokoło dzieje.

Pomiędzy 5 a 10 czerwca armia francuska jest ostatecznie rozbita, rząd francuski przejeżdża do Tours.

Dnia 12 czerwca generał Sikorski radośnie zawiadamia swój rząd: „Jest dobrze, będzie jeszcze lepiej".

Dnia 13 czerwca ma miejsce dramatyczne spotkanie rządu francuskiego z premierem Churchillem w Tours. Francuzi wycofują się z zobowiązań sojuszniczych wobec Anglików.

W nocy z 13 na 14 czerwca rząd francuski żąda, aby rząd polski opuścił Angers.

14 czerwca zajęty jest Paryż.

Generał Sikorski gdzieś się gubi. Odwiedza front, szuka Weyganda. 16 czerwca rząd polski, który już uciekł do Libourne, otrzymuje wreszcie połączenie telefoniczne z premierem, który jest w Tours.

— „Zaraz będę mówił z generałem Weygandem, na którego czekam" — mówi Sikorski.

— „Ale co pan opowiada, Weygand jest w Bordeaux, Francuzi kapitulują".

Dnia 17 czerwca po południu Sikorski jest na Radzie Narodowej. Jest on tak zdumiony tym co zaszło, że to zdumienie góruje u niego nad innymi uczuciami. „Kto by się spodziewał, że Francuzi będą tak haniebnie kapitulować" — powtarza.

Człowiek ten był typowym Polakiem. To, co Anglicy określają wyrazami „wishful thinking", przesłania mu rzeczywistość.

Dnia 18 czerwca przyjeżdża po generała Sikorskiego p. Rettinger, obywatel polski, agent polityczny brytyjski, stale zamieszkały w Anglii, i zabiera go aeroplanem do Londynu.

Pod jego nieobecność generał Sosnkowski układa się z generałem Denain, który mu oświadcza, że jeśli wśród żądań niemieckich znajdą się dezyderaty dotyczące żołnierzy polskich, to rząd francuski nie będzie miał możności im się oprzeć. To też generał Denain radzi rządowi polskiemu, aby „kupował" statki potrzebne dla ewakuacji.

— „Nie wierzę, aby Francuzi tak zapomnieli o honorze, aby mogli wydawać żołnierzy polskich Niemcom" — odpowiedział generał Sosnkowski.

Generał Denain zamilkł, ale swej groźby czy też przestrogi nie cofnął.

Francuzi więc stawiają sprawę jasno. Kapitulacja zerwała wszelkie zobowiązania wobec Polski; uprzedzają, że nas wydadzą Niemcom, gdy ci tego zażądają.

Jak na to reaguje wódz naczelny i premier, który 20 czerwca był z powrotem we Francji, aby zaraz definitywnie odfrunąć do Anglii?

Zacytuję tu kilka ustępów z broszury „Boje polskie" wydanej przez nasz sztab w Londynie na jesieni 1941.

Oto według broszury „Boje polskie":

„Dnia 18 czerwca natarcia niemieckie ponawiają się na całym froncie. 1 dywizja grenadierów łamie natarcia i utrzymuje swe stanowiska. Po południu jednak obie sąsiadujące dywizje francuskie ustępują. Po raz trzeci 1 dywizja grenadierów stanowi jedyny środek oporu XX korpusu, zagina swoje skrzydła i — ponosząc bardzo ciężkie straty — trwa na stanowiskach do wieczora.

Najcięższą walkę prowadzi ponownie 2 pułk grenadierów. W pewnym momencie dowódca tego pułku zmuszony jest użyć do przeciwnatarcia wszystkich pisarzy, ordynansów i kucharzy. Dywizjon 1 p. a. l., który wspiera ten pułk, strzela chwilami wprost z odległości 500 metrów do czołgów niemieckich. Dowódca p.a.l., płk. Brzeszczyński, osobiście prowadzi ogień i cofa się skokami po kilkaset metrów. Szef sanitarny dywizji melduje, że przez punkty opatrunkowe przeszło już do wieczora 4000 rannych. Ogólne straty dywizji wynoszą 35% jej stanu.

19 czerwca od świtu pęka front XX korpusu, 52 dywizja rozsypuje się w ciągu kilku godzin. Powstała luka otwiera Niemcom drogę do rejonu, w którym miała odpoczywać piechota 1 dywizji grenadierów.

Dowódca XX korpusu, nie dysponując już żadnymi innymi odwodami, nakazuje 1 dywizji obsadzić natychmiast pozycję Baccarat—Merveiller.

Demoralizacja wojska francuskiego dochodzi do ostatecznych granic. Ludność okoliczna jest wręcz wrogo ustosunkowana do polskich żołnierzy. Wszyscy żądają od Polaków zaprzestania walki i poddania się.

20 czerwca o świcie niemiecka piechota podwieziona samochodami atakuje 1 dywizję, w południe prawy sąsiad dywizji, 49 dywizja francuska, poddaje się. Dywizja otrzymuje pochwałę w rozkazie dziennym i ma być zluzowana, ale zluzowany został tylko 1 pułk grenadierów. O świcie 21 czerwca piechota francuska, która zluzowała 1 pułk grenadierów odchodzi bez walki, otwierając lukę pomiędzy 2 a 3 pułkiem.

Armia francuska odmawia stawiania dalszego oporu Niemcom. Całe dywizje składają broń..."

Widzimy więc z powyższej relacji, że dywizja polska walczyła jeszcze cztery dni od chwili zerwania z nami sojuszu przez Francję. Na pytania, które się cisną na usta: dlaczego, po co i na co, broszura „Nasze boje" daje odpowiedź następującą:

„Dywizja, zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza, po wypełnieniu pierwszej jego decyzji walki ramię w ramię z Francuzami, ma wypełnić jego ostateczne zlecenie — przedostać się na południe Francji".

W dalszym ciągu dowiadujemy się z broszury „Boje polskie", że walka po kapitulacji tak wyczerpała dywizję, że już nie mogła się przedostać na południe Francji. Krótko mówiąc, Anglicy zabrali swe wojska z Francji jeszcze przed kapitulacją Francji i jeszcze wtedy, gdy Francja była ich sprzymierzeńcem, Sikorski kazał naszym wojskom walczyć już po kapitulacji Francji, potem jak Francja przestała być naszym sprzymierzeńcem i potem, jak nam groziła, że żołnierzy naszych wyda Niemcom.

W szczególnie dramatyczny i skandaliczny sposób zmarnowano Brygadę Podhalańską. Po walkach koło Narvik, gdzie brygada ta biła się wspaniale, w związku z wycofaniem wojsk alianckich z Norwegii przyjechała ona dnia 14 czerwca do portu francuskiego. Czyż nie należało natychmiast kazać okrętom zawrócić i jechać do Anglii? Ale Sikorski jeszcze wtedy myślał, że „jest dobrze, będzie jeszcze lepiej".

Generał Sikorski był sympatyczny, gdy wkładał okulary. Był kłótliwy, zaczepliwy, krzykliwy, gdy chciał się wykręcić z własnych głupstw i gdy zasłaniał się uniwersalnym środkiem, używanym przez wszystkich polskich niezdarnych generałów i wszystkich polskich ograniczonych polityków, mianowicie honorem narodowym. Posłuchajmy w jaki nieprzyjemny sposób przemawiał generał Sikorski na Radzie Narodowej w Londynie dnia 18 lipca 1940.

„Wspominam o tym, gdyż w małym zatrutym światku emigracji londyńskiej pojawiły się ostatnio nieśmiałe głosy, oskarżające mnie, że zatraciłem Armię Polską we Francji. Autorzy tych kalumnii wiedzą aż nadto dobrze, że gdybym był wydał wojskom walczącym rozkaz opuszczenia frontu, nie bylibyśmy dzisiaj w Wielkiej Brytanii jako rząd sprzymierzony i jako ceniona tak bardzo za swoją lojalność rycerska armia sojusznicza. Nic innego nie pozostałoby nam, jak niewola haniebna. Honor, sumienie, racja stanu, nie pozwalały nam na postępowanie innego rodzaju".

Co za stek nonsensów! Gdyby generał Sikorski potrafił wywieść z Francji jakieś wojska polskie, byłyby one oczywiście w Anglii spotkane z otwartymi ramionami, tak samo, jak były spotkane wojska z Dunkierki. Do głowy żadnemu Anglikowi nie przyszłoby robić nam zarzut, żeśmy opuścili Francję po jej kapitulacji!

W czasie klęski Francji również złoto Banku Polskiego wymknęło się z rąk polskich i zostało przez Francuzów przewiezione do Dakaru w Afryce... Później złoto polskie z Dakaru zostało przez aliantów odzyskane i rząd angielski potrącił sobie z tego złota wszystkie wydatki, które był poniósł na utrzymanie rządów generała Sikorskiego i Mikołajczyka w Londynie, choć w rzeczy samej rządy te służyły wyłącznie posunięciom polityki angielskiej, bez korzyści dla sprawy polskiej.

Pozostawienia złota w rękach Francuzów nie można było już tłumaczyć względami na „honor", ale widać „wishful thinking" generała Sikorskiego było tak duże, że popchnęło go do złożenia Radzie Narodowej w tej sprawie informacji wręcz niezgodnych z prawdą. Oświadczył mianowicie tegoż 18 lipca 1940 r., że:

„Faktem jest, że wywieziono całe archiwum, wszystkie wartościowe dokumenty, arrasy, F. O. N. i złoto".

Ludzie ślepi mają wydoskonalony węch i czucie w palcach. Organizm pozbawiony jednego zmysłu stara się go choć częściowo zastąpić innym. Organizm narodu polskiego nie jest w stanie należycie selekcjonować swego materiału ludzkiego. Do władzy bardzo rzadko dochodzą u nas ludzie odpowiedni, przeważnie frazesowicze, blagierzy lub poczciwe niedołęgi. Toteż organizm narodu polskiego stara się wyrównać tę swoją organiczną wadę, ów niewłaściwy dobór ludzi na stanowiska kierownicze, ofiarnością i egzaltacją patriotyczną. Im głębiej będą topić rządy polskie sprawę polską w czasie tej wojny, tym większe dowody heroizmu składać będzie naród polski w rozpacznej walce o niepodległość. Wojsko zaprzepaszczono we Francji, a oto tysiące Polaków drapie się przez Pireneje i inne wszelkie drogi, aby dostać się tam, gdzie powiewają polskie chorągwie wojskowe.

II

Pertinax w swej książce „Grabarze" opowiada z uśmiechem o paplaninie fryzjera w Bordeaux, który goląc klienta 14 czerwca wieczorem perorował:

— „Je suis bien tranquille. Weygand réserve aux Allemands un tour de sa façon".

Dobrze, że Pertinax nie wiedział, iż generał Sikorski miał w tymże czasie zupełnie z tym fryzjerem identyczny pogląd na sytuację wojenną.

Z czasów ucieczki biur polskich z Paryża i Angers w kierunku Bordeaux, utkwiło mi w pamięci pytanie pewnego szofera Polaka, który biorąc kierownicę w ręce zapytał:

— „No, a gdzie są te „ichnie Zaleszczyki?"

Polacy we Francji żyli w przygnębieniu, że przegrali wojnę tak łatwo. Katastrofa francuska, w tempie równorzędnym z naszą, była dla nas tragedią, ale coś nam wyrównała w duszy, jeśli chodzi o dumę narodową. Stąd ten zwrot „ichnie Zaleszczyki" nie był zwrotem przypadkowym.

Termin „Zaleszczyki" padł także podczas dyskusji na Radzie Narodowej w Libourne, przed ucieczką tej instytucji do Londynu na okropnych statkach od węgla. Wtedy do Lourdes skierowano tysiące Polaków z rodzinami i mniejszość Rady twierdziła, że nie wypada uciekać przed ewakuacją tych ludzi. Mikołajczyk robił wtedy wrażenie, że strach przed wpadnięciem w ręce Niemców przesłania mu wszelkie możliwości rozumowania. W końcu tylko kilku członków Rady: Bielecki, Nowakowski, pani Zaleska i ja pojechaliśmy do Lourdes, gdzie przyjechał także p. Kot, który wśród swoich wad nie ma wady tchórzostwa. W Lourdes usłyszeliśmy wiadomość o dymisji Sikorskiego i mianowaniu Zaleskiego premierem. Zapytałem p. Kota, co o tym sądzi.

„To jakiś dowcip Strońskiego" — odpowiedział.

TAJNE MEMORIAŁY GENERAŁA SIKORSKIEGO

I

W staroświeckich powieściach dla dzieci żaglowiec spotyka się z górą lodową, jest bliski katastrofy, góra lodowa odpływa jednak w inną stronę, żaglowiec jest uratowany. Takie właśnie chwile przeżywała Anglia w 1940 r. Godny podziwu był spokój tego narodu i jego reakcja na niebezpieczeństwo... Tym, czym dla Francji nie była linia Maginota, tym dla Anglii stał się wynalazek radiolokacji, który umożliwił odparcie niemieckiej floty powietrznej. Witano tu nas wtedy w chwilach śmiertelnego niebezpieczeństwa z otwartymi ramionami. Szkoci, wśród których stacjonowało wojsko polskie, twierdzili, że milszych ludzi w ogóle nie ma na świecie. Przyjeżdżającego prezydenta Rzeczypospolitej witał król Jerzy VI. Jakiż wtedy był nastrój!... Jakże z góry spojrzałby, zachwycony braterstwem broni z Anglikami, polski marynarz, lotnik, żołnierz na tego, który by mu mówił, że... jednak układy polityczne z Anglią... Jakie tam układy? Kto by tam chciał je czytać! Wspólnota walk w powietrzu, nad falami i pod falami mórz wydawała się być silniejsza ponad wszystkie układy. Oby tylko Niemców zwyciężyć! Nikt o tym nie myślał, że przeminą kiedyś grzmoty najsilniejszych nawet armat, a z nimi razem odlecą uczucia wdzięczności...

*) Por. „Sojusz z Anglią był sojuszem egzotycznym" w nr. 93, „Powstanie rządu na emigracji" w nr. 94 i „Zajmujemy się proszkiem od bólu głowy" w nr. 95 „Odrodzenia".

Spłynął tu Polakom pierwszy rok pobytu w Anglii w rozczuleniu w zachwycie dla Anglików, w słuchaniu komplementów, w rzetelnej robocie wojskowej, w... całkowitej dezorientacji politycznej.

Jeśli chodzi o historię naszego rządu, to zaczyna się ona w Anglii od dymisji, której udzielił prezydent Rzeczypospolitej generałowi Sikorskiemu, jako premierowi, pozostawiając go nadal wodzem naczelnym. Na premiera desygnowany został p. August Zaleski... słusznie: — był to dyplomata, który wykazał za czasów katastrofy francuskiej najwięcej przenikliwości politycznej. Za dymisją generała Sikorskiego wypowiadało się wtedy i potem bardzo głośno koło „sanacyjne". Rozpowszechniano w odpisach memoriał byłego ambasadora Łukasiewicza, skierowany do prezydenta, zawierający szereg rzeczowych argumentów przeciw generałowi Sikorskiemu i pewną ilość naiwnych założeń. Tak samo generał Dąb-Biernacki napisał ostry list do gen. Sikorskiego. Ale dymisja generała Sikorskiego wywołała próbę zamachu stanu. Kilku oficerów, m. innymi pułkownik Klimecki, pułkownik Krubski, zjawili się u prezydenta i u nowodesygnowanego premiera, twierdząc, że wojsko nie ścierpi, aby premierem przestał być generał. Bardziej decydującą, choć nader dyskretną interwencją w obronie generała Sikorskiego była... rada... naszych gospodarzy.

Dokumenty w tej sprawie ogłoszone nie były, bo gen. Sikorski nie chciał gorszyć rodaków wiadomością, że pozycja jego była zachwiana. Prezydent podpisał dekret, aprobowany przez min. Zaleskiego, mianujący ponownie gen. Sikorskiego premierem. Na tenże okres wypada zniesienie podsekretarzy stanu w naszym rządzie, przy tym p. Kot wprost z Francji pojechał do Ameryki, a z p. Gralińskim pokłócił się p. Kot do tego stopnia, że czynił mu publiczne afronty, chociaż p. Graliński był podsekretarzem stanu w ministerstwie spraw zagranicznych właśnie z ramienia stronnictwa p. Kota. Ale działały widać inne jakieś podziały. Amatorzy domyślania się wszędzie gry masonów, widzieli w tym całym zamieszaniu walkę polskich masonów z Grand Orient, z polską lożą rytu szkockiego. Ci ostatni mieli sobie powiedzieć: oto przyjechaliśmy do kraju, nad którym panuje ryt szkocki. Wprawdzie nie jesteśmy uznani za obrządek regularny, ale jednak co ryt szkocki, to ryt szkocki. Tamci z Grand Orient rządzili sobie we Francji, teraz, z Anglikami, my się lepiej dogadamy. Z dużym zdumieniem dowiedzieli się, że Anglicy stanęli bezwzględnie po stronie generała Sikorskiego. Jak to życie wciąż obfituje w rozczarowania.

Dlaczego Anglicy popierają gen. Sikorskiego?

Odpowiedzi szukajmy w zestawieniu dat. Oto generał Sikorski w towarzystwie p. Hieronima Rettingera opuszcza Francję 18 czerwca, a 19 czerwca... w dwanaście godzin później, składa rządowi angielskiemu, memoriał... o czym? Może o Pétainie i armii francuskiej... może swoje przypuszczenia co do warunków zawieszenia broni pomiędzy Francją a Niemcami... może inną kwestię aktualną? — O nie! memoriał dotyczy wciągnięcia Rosji do wojny, udziału wojska polskiego po stronie Rosji.

Anglicy przed wojną liczyli na Rosję; — gdy poszła ona z Hitlerem chcieli ją od Niemiec oderwać. Po doświadczeniach z państwami średnimi w Europie, które od uderzenia niemieckiego pękały i rozsypywały się, Anglia tym bardziej mogła liczyć tylko na przemysł wojenny amerykański i rezerwuar ludzki rosyjski.

Widać Rettinger powiedział gen. Sikorskiemu w czasie lotu z Bordeaux do Londynu: Aby uzyskać współpracę z Anglikami i protekcję Anglików, musi pan ich zapewnić, że nie będzie im pan utrudniał gry wobec Rosji, owszem, że mogą oni na pana pod tym względem liczyć...

Zresztą memoriał gen. Sikorskiego z 19 czerwca był redagowany przez tegoż p. Rettingera.

Dziś już wiemy, że memoriał z 19 czerwca 1940 nie był jedynym ani też pierwszym memoriałem, który generał Sikorski Anglikom w sprawach sowieckich złożył. Według relacji p. Stefana Littauera, ogłoszonych przez niego w broszurze pt. „Zmierzch Londynu" w marcu 1945 r. w Warszawie (wydawnictwo „Czytelnik"), generał Sikorski już w listopadzie 1939, podczas kilkudniowego pobytu w Londynie, złożył rządowi angielskiemu memoriał również dotyczący sposobów wciągnięcia Rosji do wojny po stronie aliantów i zorganizowania wojska polskiego po stronie rosyjskiej. Tylko wówczas memoriał był redagowany nie przez p. Rettingera, a przez samego p. Littauera. Między tymi panami zachodzą różnice zasadnicze: p. Rettinger... jak to powiedzieć... jest dobrze z Anglikami, a p. Littauer... jest dobrze z Sowietami.

Złożenie prosowieckiego memoriału przez p. Sikorskiego, już w listopadzie 1939, rzuca ciekawe światło na jego mentalność. Przecież kilka tygodni później na życzenie rządu francuskiego tenże gen. Sikorski będzie przygotowywał Brygadę Podhalańską do wysłania na wyprawę fińską, przeciw Rosji, której to wyprawie znów Anglicy byli raczej przeciwni... Generał Sikorski jest tak impulsywny i tak łatwo ulega różnym wpływom...

Obydwa te tajne memoriały gen. Sikorskiego, i ten rettingerowski z czerwca 1940 i ten littauerowski z listopada 1939, były wręczone rządowi angielskiemu poza wiedzą kraju polskiego i zwłaszcza ministerstwa spraw zagranicznych. O memoriale Littauera dowiedzieliśmy się dopiero z broszury samego p. Littauera, że istniał i nawet nie jest wykluczone, że istniał on tylko w wyobraźni tegoż p. Littauera, względnie w jego listach do jego sowieckich przyjaciół. Natomiast rettingerowski memoriał został oficjalnie przez rząd polski wycofany, przy tym lord Halifax, oddając go ambasadorowi Raczyńskiemu, powiedział uprzejmie:

— „A to się dobrze składa, że ja nie zdążyłem tego jeszcze przeczytać".

Stanisław Mackiewicz (Cat)

„Wieszcz narodowy Flandrii jest głosem bohaterskim nieśmiertelnej wolności"

„Monumentalne arcydzieło na miarę Don Kiszota"

(z przedmowy ROMAIN ROLLANDA)

KAROL DE COSTER

OSOBLIWE PRZYGODY DYLA SOWIZDRZAŁA

PIERWSZE WYDANIE ZUPEŁNE ILUSTROWANE

Str. 484 zł. 250.—

„Książka"

250

WILHELM MACH

Dwie książki o walczącej Warszawie*)

Przegląd powojennej twórczości literackiej prowadzi do stwierdzenia, które ma pozory paradoksu, że w próbach ujęcia minionej rzeczywistości w kształt artystyczny z największymi trudnościami boryka się powieściopisarz. Obfitość faktów, wydarzeń i przeżyć, wabiąca obietnicami rozległych i łatwych możliwości epickich, okazuje się głębią pełną zdradzieckich wirów. Kto umiał, zabierając się do eksploatacji nagromadzonych w niej bogactw, ograniczyć ambicje pisarskie do sprawozdawczych zapisów, do faktografii —

Krystyna Fuzakowska

ten wyszedł z niebezpieczeństw obronną ręką. Pamiętniki, wspomnienia, reportaże (Szmaglewska, Rusinek...) — oto realizacje, które, niezależnie od ich „absolutnej" wartości artystycznej, wyrażają najpomyślniej chyba stosunek zamiaru do dokonania. Założenie **odtwarzania**, a nie **tworzenia**, będące podstawą prozy dokumentarnej, sprzymierza się z pisarzem w walce z oporną tematyką „wojenną". Ale już o krok dalej, w noweli czy opowiadaniu, rodzaju domagającym się znaczniejszego wkładu pracy **konstruktywnej** i poszerzenia obrazu przez **fikcję literacką** — potyka się pisarz o zapory skomplikowanej problematyki, zarówno treściowej jak i formalnej, mimo że utwór taki ogarnia zaledwie cząstkę złożonej całości: jakieś wybrane zdarzenie, jakiś jeden problem. Żywość dyskusyj, wywoływanych publikacjami tego typu, sprzeczność sądów i opinii krytycznych o tych samych utworach (Andrzejewski, Żukrowski, Szczepańska, Borowski...) — oto wymowne świadectwo wieloznaczności sensów, jakie autorzy starali się w swoich pracach pomieścić.

Powieść, gatunek epicki najszerszy, nastręcza tych trudności proporcjonalnie więcej. Już choćby z racji swej „objętości" każe się czytelnikowi spodziewać pełnego i wszechstronnego wyrażenia „prawdy" lat wojennych. Pokusa dla pisarza wielka, ale — jak dotychczas — daje się dość wyraźnie zauważyć lęk przed ogromem odpowiedzialności. Ryzykowność zadania nakazuje autorom ostrożne trzymanie się „blisko brzegu", ograniczanie zamiaru twórczego do zakresu zacieśnionego w taki czy inny sposób: może ono polegać np. na koncentracji „świata" w soczewce relatywnych przeżyć i doznań jednostkowych (Zawieyski, Otwinowski, Dygat), albo na wyborze ściśle określonej, wyłączonej grupy zjawisk związanych z danym środowiskiem, z danym „terytorium" (Pruszyński, Meissner...).

Mimo te trudności w objęciu pełni, utrzymuje się dążność do ujarzmienia opornego tworzywa. Upływający czas zwiększa ustawicznie dystans w stosunku do powichrzonych treści tamtych lat, uładza przeciwieństwa, wyrównuje pole widzenia — pozwalając pisarzowi wykrywać logiczne związki między pozornymi sprzecznościami i łączyć odległe zjawiska w zrozumiałą, przejrzystą całość. — W utworach literackich związanych tematycznie z wrześniem 1939 (Rudnicki, Żukrowski, Szemplińska) tkwią zapowiedzi pozwalające wierzyć, że i lata następne „ustatycznią się" na tyle, aby stać się posłusznym materiałem dla epiki.

Bez tych uwag wstępnych ocena powieści Fuzakowskiej „Miejsce wśród ludzi", jako książki nieudałej, mogłaby wydać się zbyt surowa. A wówczas sąd taki, odniesiony do młodej pisarki i jej pierwszej pracy jak gdyby w izolacji, w oderwaniu od ogólnych warunków współczesnej twórczości prozatorskiej, byłby również i krzywdzący.

„Miejsce wśród ludzi" — to powieść-debiut. Debiut — na ogół udały. Powieść — na ogół nieudała. To rozróżnienie jest potrzebne. Trudno bowiem odmówić książce sympatycznych i dobre nadzieje rokujących zalet, które wprawdzie nie mogą osłonić **samego utworu** przed krytyką ujemną, lecz zdają się świadczyć o talencie **autorki**, o jej możliwościach twórczych, które w utworach następnych wyrażą się pomyślniej. Książka jest bowiem napisana żywo, z temperamentem, wykazuje dużą swobodę i łatwość w operowaniu słowem, umiejętność obserwacji, zajmującego rozwijania fabuły, modulowania nastroju — a wreszcie posiada całe partie, które, wyodrębnione z całości i, dajmy na to, wydrukowane w czasopiśmie literackim na prawach „fragmentów" — wywarłyby na pewno mocne i korzystne wrażenie. Ale właśnie suma wszystkich zdań pomieszczonych w książce, suma wszystkich zalet i wad, słowem: powieść — jest chybiona.

Może to wina zbyt wielkiej ambicji: autorka bowiem postanowiła wypowiedzieć poprzez podjęty wątek fabularny o wiele więcej, aniżeli jej było „wolno". Tematem powieści są dzieje młodego mieszanego małżeństwa (Polka i Żyd) od roku 1939, tuż przed wybuchem wojny, aż do końca okupacji. Rzecz dzieje się przeważnie w Warszawie. Problem zasadniczy: młodzi się kochają, ta miłość zyskuje mocniejszą jeszcze spójnię, gdy bohaterka, Irena, staje się matką — lecz okrutne rozporządzenia o ghetcie rozdzielają małżonków i stają się przyczyną skomplikowanego dramatu rodzinnego. Pełne oświetlenie tego istotnie niebanalnego konfliktu pomiędzy nakazem uczucia i prawdziwie ludzkiej moralności, a przymusem barbarzyńskich praw — starczyłoby aż nadto. Lecz autorce było tego za mało, więc rozwinęła główny tok opowieści o całe mnóstwo zawikłań ubocznych, dodała do nich wszystkie okropności, jakie tylko mogły człowieka dotknąć za czasów okupacji, a nawet poza okupacją, wreszcie nie odmówiła sobie satysfakcji obfitego „ideologicznego" komentarza. Powstał z tej zapobiegliwości o „pełnię" obrazu — niesamowity romans sensacyjno-obyczajowy, nasycony szczodrze „trójkątową" erotyką (tym przykrzejszą, że z udziałem Niemca-lokatora, gestapowca) — romans, który w oderwaniu od rzeczywistości okupacyjnej spłynąłby na pewno w mętne nurty przerozmaitych „dziejów grzechu": zmusza do takich podejrzeń szczególny wkład pisarskiej energii i pochwalonego już temperamentu w soczyste podmalowywanie wielu zbędnych dla konstrukcji pierwszoplanowej scen i epizodów.

Na szczęście czy na nieszczęście niewybredna sensacyjność drapuje się w powagę „problemów", wypożyczonych okazyjnie raczej, aniżeli z konieczności wewnętrznej, od istotnie poważnych czasów, stanowiących tło akcji. I — również okazyjnie — czerpie z nich całe mnóstwo realiów, które, nagromadzone w jednej książce, czynią z niej panopticum grozy. Ta osobliwa powieść, rozpoczynająca się prawie niewinnie grą pensjonarskich rozterek uczuciowych i mieszczańsko-rodzinnych dramacików — z biegiem akcji zagarnia zaborczo i wchłania w siebie wszystkie „straszności" okupacyjne: aresztowania, łapanki, wywożenia do obozów śmierci, strzelaniny, pijackie orgie Niemców, rozpasane okrucieństwa w ghetcie, stosy trupów, egzekucje masowe, mordowanie dzieci, szantaże, donosicielstwo, akty osobistej zemsty, powstanie w ghetcie, powstanie 1944 r... Jakby i tego było jeszcze mało — autorka sięga do rekwizytorni melodramatów: dziecko bohaterki ginie z rąk demonicznego gestapowca, jej matka truje się gazem, a ona sama — poprzysiągłszy na mogile straszną zemstę — truje w końcu niecnego wielbiciela i kata wraz z jego kochanką. Cud prawdziwy, że para bohaterów wychodzi z życiem z tych wszystkich opresyj, jakich im autorka nie poskąpiła; co prawda Henryk musiał się okupić straconą w powstaniu ręką, a Irena nadwyrężonym, po pew-

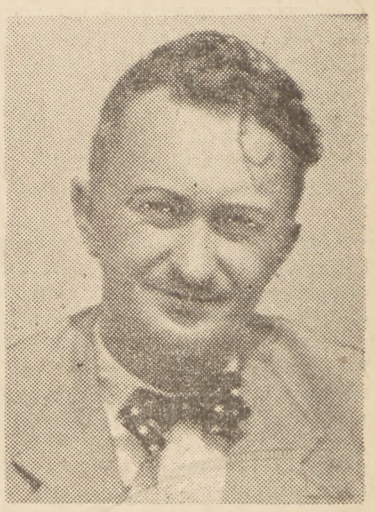

Jan Dobraczyński

nych ekscesach akuszeryjnych, zdrowiem. No, i ich miłość wzajemną, choć ze strony Ireny zadokumentowana najwyższą ofiarą, bo dobrowolnym skazaniem się na ghetto — ucierpiała w konsekwencji romansowo-makabrycznych perypetyj. Ale koniec końców doczekali oboje przełamania frontu przez armię sowiecką i — happy end.

Mimo że autorka całym nawałem słów, puszczoną na pełny gaz maszynerią martyrologiczno-patriotycznej makabry, usiłuje wmówić w czytelnika swoje dominujące zainteresowanie dla problematyki wojenno-okupacyjnej w jej wyglądzie ogólno-narodowym i społecznym — zamierzonego efektu nie osiąga. Brak szczerości mści się złośliwie i demaskuje ustawicznie właściwą predylekcję pisarki: jej upodobanie do „prywatnej" sensacyjności losów ludzkich. Najjaskrawszym przykładem roztargnienia, z jakim Fuzakowska traktuje historię lat wojennych, jest pomieszanie chronologicznej kolejności faktów: na str. 125 pisze o kapitulacji Włoch, nieco dalej o „procesie przeciwko katom z Majdanka" w Lublinie, potem każe bohaterom **przeżyć jeszcze jedną zimę** i dopiero następnego lata (a więc w r. 1945!) pozwala im uczestniczyć w powstaniu warszawskim; jeszcze jedna zima — i dopiero wyzwolenie, spóźnione z woli autorki o cały rok. Biedni bohaterowie powieści!

Cały tok opowiadania jest niepotrzebnie przełamany na dwa sposoby relacji: „od autora" (w trzeciej osobie) i „od bohaterki" (jako pamiętnik Ireny). W gruncie oba sposoby nie różnią się niczym, poza formą gramatyczną — a często „zapożyczają się" wzajemnie (na przykład — gdy w „pamiętniku" rodzice Henryka, mieszkający w Paryżu, prowadzą rozmowę na temat syna; tej rozmowy „pamiętnikarka" chyba nie słyszała). „Stylistycznie" utożsamiła się autorka ze swą bohaterką najzupełniej — ale zresztą nie tylko pod tym względem. Obydwie patrzą na świat tymi samymi oczyma, widzą go tak samo i rejestrują w pamięci — różańcem ułamkowych migawek, impresyj i refleksyj — tak samo. I obydwie mają jak gdyby po dwie pary oczu. To pierwsze spojrzenie, najzwyklejsze, na codzień, dostrzega prawdziwe, błahe ale trafnie zaobserwowane bogactwo potoczności — i zasługuje na uznanie dzięki ujmującej, po kobiecemu ciekawskiej a bezpretensjonalnej akuratności w podchwytywaniu drobiazgów; ale raz po raz nakładane okulary niepotrzebnie uniezwyklają, uwznioślają oglądany poprzez nie świat — i odbierają książce naturalną prostotę, zakłamują jej samorzutną, niewielką ale szczerą prawdę. Bo gdy

*) **Krystyna Fuzakowska.** Miejsce wśród ludzi. (Katowice). „Oficyna Wydawnicza". 1946; str. 170. — **Jan Dobraczyński.** W rozwalonym domu. Warszawa, „Czytelnik", 1946; str. 256.

tylko autorka-Irena popatrzy „hen, w dal", albo jeszcze gorzej: „z lotu ptaka" — i zacznie opowiadać, jak to „Europa spływała krwią", a „serca narodów wolnych... krwawią obnażone na końcach ich (Niemców) bagnetów i karabinów" — to zaraz robi się gęsto od frazesów, aforyzmów, głębinowych symbolów i alegoryj — naprawdę najzbyteczniej. Bardzo często owa dęta werbalistyka, wzorowana na stylu gazeciarskich artykułów i okolicznościowych przemówień, sprawia niemiłe wrażenie jakiejś „ideologicznej" rekompensaty. Obfite dygresje „światopoglądowe", powierzchowne i niedomyślane, natarczywie i uporczywie wznawiane, a nie poparte ani interesem kontekstu, ani atrakcyjnością intelektualną — pogrążają powieść w płytkie rozlewisko truizmów, albo — jeszcze gorzej — stroją utwór w grymasy wieloznacznej kokieterii: tak jest na przykład, gdy bohaterka jedną ręką głaszcze poczciwego Pana Boga a drugą składa w „figę" (że niby: może „tak", może „nie" — niech czytelnik wybiera co chce) — tak jest w naiwnych, impresyjno-uczuciowych pochwałach „postępu" i „nowego świata".

Ale nie ma potrzeby analizować dokładniej tych usterek; jeśli o nich wspominam, to przede wszystkim dlatego, że odzwierciedlają one niełe kardynalną omyłkę debiutantów. którzy dość często uważają tego rodzaju „wstawki" i „programowe" wynurzenia za rękojmię dobrego „przyjęcia". Ta zapobiegliwość, antycypująca zarzut „bezideowości" i usiłująca przekreślić go z góry skrzętnym nagromadzeniem patetycznych haseł i afektowanych wykrzykników — nie ma z rzetelną sztuką nic wspólnego. Idea, jeśli jest szczera, wyrazi się samodzielnie, jako integralny składnik materiału epickiego. Koniec końców czytelnik zawsze dotrze do istotnej treści książki, nie ma więc potrzeby, aby mu to dojście utrudniać. W przypadku „Miejsca wśród ludzi" — po odrzuceniu reportażowych łatwizn i frazeologicznych egzaltacyj — odnajdzie bezpretensjonalną i wzruszającą opowieść o dwojgu ludzi, cierpiących wiele, ale szczęśliwie odnajdujących spokój i szczęście.

•

W porównaniu z „Miejscem wśród ludzi", usiłującym niefortunnie „opowiedzieć" całe z okładem pięć lat wojny, opowieść Dobraczyńskiego „W rozwalonym domu" odznacza się umiarem i godną pochwały ostrożnością. Dobraczyński poprzestaje na jednym fragmencie okupacyjnych dziejów Warszawy, ale za to najważniejszym, najbardziej dramatycznym: na powstaniu 1944. I to z daleko posuniętym ograniczeniem, gdyż treścią książki jest historia jednej kompanii szturmowej, rozegrana w ciągu niecałej doby (wieczór, noc, część dnia następnego), na ściśle określonym, niewielkim odcinku walk ulicznych. Tytułowy „dom rozwalony", kluczowa pozycja broniona do ostatka przez oddział „Wacława", skupia wokół siebie całość akcji. Jedność czasu, miejsca i akcji wyszła na dobre kompozycji utworu: jest ona przejrzysta, celowa, dobrze „związana", nie rozprasza uwagi czytelnika, nie wodzi go krętymi drożynami nawrotów i powtórzeń. Wszystko dzieje się według tradycjonalnej konwencji powieściowej „za porządkiem", według kolejno mijających godzin. Ale właśnie pomieszczenie wszystkich dramatycznych perypetyj bohaterów, od zawiązujących się na wstępie konfliktów, poprzez ich kulminację aż do końcowej fazy, w tak szczupłej ramie — świadczy dobrze o konstruktywnej sprawności autora.

Książka nie została opatrzona podtytułem oznaczającym jej gatunek literacki. Nazywam ją opowieścią — gdyż termin ów wydaje mi się najwłaściwszym dla utworu, stojącego na pograniczu pomiędzy powieścią a reportażem. Z powieści czerpie on główną, fikcyną akcję ramową, osadzoną na dramacie rodzinnym (trochę podobnie jak u Fuzakowskiej — i też z „trójkątem"); powieściowy jest również uboczny wątek tragicznej miłości dwojga młodych bohaterów, poszerzony udziałem paru innych jeszcze osób w rozwoju ich losów. Ale gdyby zesumować wszystkie możliwe kombinacje wzajemnych napięć dramatycznych, konfliktów, rozgrywek, jakie były do przeprowadzenia pomiędzy postaciami pierwszoplanowymi — nie starczyłoby tego nawet na połowę książki. Głównym jej bohaterem, absorbującym przede wszystkim uwagę pisarza, jest bowiem cały oddział „Wacława". Wielu uczestników walki poznajemy z imienia czy „pseuda", wielu wyróżniamy w tłumie po cechach indywidualnych, którymi ich autor wyposażył — czasem w paru zaledwie szkicowych, ale wyrazistych pociągnięciach — lecz głównym podmiotem działania jest zbiorowy organizm tych młodych zapaleńców. Właściwa akcja — to walka, gromadny wysiłek w utrzymaniu placówki na Starym Mieście. Przebieg tych walk, co poręcza „Przedmowa", jest przedstawiony zgodnie z prawdą. Tym samym zasadniczy trzon książki, rezygnując z fikcji literackiej, służy rzeczywistości historycznej, dokumentuje ją, przekazuje świadectwo bezprzykładnego i tak tragicznie nadużytego bohaterstwa warszawskiej młodzieży — czasom obecnym i przyszłym. Ta właśnie rola książki Dobraczyńskiego decyduje o szczególnej, trudnej do sprecyzowania randze jej „gatunku formalnego". Mały to jednak kłopot dla czytelnika. Przede wszystkim chodzi o jej zawartość.

Autor zdaje się świadomie i rozmyślnie przeprowadzać linię podziału pomiędzy wyodrębnioną grupą właściwych postaci „powieściowych", a jednolitą gromadą młodych. Porównanie wypada stanowczo na niekorzyść „starszych": Magdalena jest kobietą słabą i niestałą w swych decyzjach; jej mąż „Krak", dowódca odcinka — to „wieczne dziecko", romantyk, entuzjasta, lekkomyślny i ambitny szafarz krwi swoich żołnierzy-dzieci; „Wacław", dowódca kompanii, mimo pozorów statecznej męskości i rozwagi — niewiele lepszy od swego rywala; migawkowo ukazane postacie oficerów z komendy budzą na ogół więcej litości niż szacunku — niektórzy z nich są niedwuznacznie odrażający.

Te główne figury uwikłał autor w sieć ich osobistych, prywatnych konfliktów, na których tle wyglądają tym żałośniej. Bezradność i nieodpowiedzialność życiowa „starych" uwypukla się szczególnie poprzez historię trzynastoletniego syna Magdaleny i „Kraka" — Wojtka, który w ciągu jednej nocy, wbrew namiętnym sprzeciwom matki, przeobraża się z dziecka w żołnierza. „Wielka scena" pomiędzy ojcem i synem (rozdział 11), w której bezkrytyczny, powodowany głównie chęcią naśladownictwa zapał chłopca walczy o lepsze z lekkomyślnym, egoistycznym patosem „Kraka" — pulsuje niezamierzoną może nawet przez autora ironią.

Z drugiej strony — młodzi. Przeważnie dzieci i wyrostki. Cechą, odróżniającą ich korzystnie od dowódców, jest ślepa, bezinteresowna i bezgraniczna wiara w konieczność walki, ofiary, bohaterstwa. Ale przede wszystkim — **wiara w zwycięstwo.** Tylko ona nadaje ludzki sens beznadziejnym — obiektywnie rzecz biorąc — poczynaniom. Ale też absolutny brak krytycyzmu, bezwzględny optymizm „młodych" — tym czarniejszy cień rzuca na ich przywódców, którzy na zimno, z rezygnacją zaprzysiężonych fatalistów, reżyserują bohaterskie widowisko i — mimo własny sceptycyzm — przyzwalają na marnotrawny rozlew krwi.

I jednych i drugich skazuje autor od pierwszej strony swej książki na zagładę, nie z własnej zresztą woli, skoro tylko świadczy historii. Spojrzenie pisarza na problem powstania jest pełne boleści. Charakteryzując oficerów — nie tai swej krytycznej dezaprobaty, przedstawiając tragiczną brawurę żołnierzy — ledwo powstrzymuje krzyk protestu. Konstruuje ciąg wypadków tak, że konsekwentnie zdążają one do fatalnego, z góry wiadomego finału — i w tej realistycznej prawdomówności mieści się wystarczający głos sprawiedliwej, krytycznej oceny tej beznadziejnej akcji zbrojnej. Na takim minorowym tle zadziwia kontrast, jakim jest dobitnie przez autora podkreślana i akcentowaną postawa filozoficzna ojca Marka, kapelana oddziału. Wbrew sobie samemu, wbrew konsekwencjom nagromadzonych przesłanek — apoteozuje autor przez usta księdza pozytywną wartość cierpienia i ofiary, czyni zeń najwyższą normę postępowania, najświętszą rację czynów ludzkich. I nie chodzi tu tylko o kompensacyjną formę, zastosowaną „ex post" do ofiar już poniesionych, do cierpień dokonanych i nieodwołalnych; przeciwnie: filozofia ta wybiega w przyszłość, inspiruje dalsze decyzje po linii uświęcającej samozatraty. Tym samym błogosławi to, co zostało skądinąd potępione, rozgrzesza zło, które staje się przyczyną i sprawcą „świętego cierpienia".

Szlachetny gest ojca Marka, pozostającego na straconej placówce z najcięższej rannymi, których nie dało się przetransportować, można sobie wytłumaczyć po ludzku, bez uciekania się do argumentacji metafizycznej. Ale po cóż zostaje Magdalena, opuszczając syna, którego przecież przez cały ciąg opowieści niemal gwałtem chce mieć zawsze przy sobie? I co oznacza finałowa pointa, w której zakonnik, na żałosne westchnienie Magdaleny „mój dom... — rozwalony" zapewnia ją „pani się myli — **odbudowała go pani"**? Czy ta najzupełniej niepotrzebna rezygnacja z ratunku, nie popartą zresztą żadną wyraźną intencją, nacechowana biernością i apatią — to także ma być — **ofiara doskonała?**

Tej wątpliwości, kwestionującej podstawowy morał książki, nie rozjaśnia autor w ogóle. Na zagadkowym zapewnieniu kapelana opowieść się urywa.

I znowu pozostaje czytelnikowi praca ostatecznej oceny, o tyle łatwiejsza niż poprzednio, że przynajmniej **formalna** strona książki, będąca owocem doświadczenia pisarskiego, nie budzi sprzeciwów: jest to rzecz poprawna i rzetelnie zbudowana.

Treść jej można interpretować różnie. Partie romansowe, — podobnie jak u Fuzakowskiej — służą rozrywkowo-sensacyjnym „potrzebom" i są wyrazem kompromisu pomiędzy wyższą ambicją artystyczną a pokusami „poczytności". Nie stanowią jednak — przeciwnie niż tam — najgłębszego dna utworu. Gdy je odjąć — pozostanie rozbrzmiewający zgiełkiem bitewnym artystyczny reportaż z jednej doby powstania: reportaż mieniący się niegodne pewnie bohaterstwa — jeżeli pominięte — uczucia strachu, i zdobiący historyczną pomyłkę w aureolę transcendentalnej świętości.

Wilhelm Mach

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

Po zgonie H. G. Wellsa

Warto dzisiaj, po śmierci Wellsa (1866—1946), przypomnieć nekrolog, który sam sobie napisał przed laty dziesięciu, w roku 1936. Pisał tam o sobie: „Był to jeden z najpłodniejszych wyrobników pióra swej epoki... Miał wyczucie tego, co się zbliża... Lubił być przyrównywany do Rogera Bacona... Był essayistą piszącym wiele na tematy publiczne i jeszcze płodniejszym producentem powieści... Należał do intelektualistów, którzy z zasady unikają rwących i emocjonalnych strumieni życia... Był typem raczej naukowca niż artysty, chociaż posługiwał się formami literackimi..."

Krytyczne, zrównoważone, sprawiedliwe określenie samego siebie, świadczące o tym, że trzeźwy sąd nie opuszczał go nigdy, począwszy od młodych lat, kiedy po wyjściu z bardzo ciasnych warunków rodzinnych w Bromley pod Londynem — po przykrych terminach u drogisty i bławatnika, w londyńskim Royal College of Science — nauczył się, studiując biologię, posługiwać kategoriami ściśle naukowymi. Wzrost szans życiowych w Anglii późnowiktoriańskiej, w porównaniu ze stosunkami sprzed lat sześćdziesięciu, sprawił, że Wells — który podobnie jak Dickens wyszedł ze środowiska niżej niż średnioburżuazyjnego — miał łatwiejszy niż on dostęp do wiedzy. Dzięki wrodzonej bystrości, usilnej pracy i zachęcie znakomitego kierownika laboratorium T. S. Huxleya, mógł Wells w roku 1888 zdać z odznaczeniem egzaminy i niewiele brakowało, by został asystentem profesora, a wreszcie wykładowcą. Złośliwy zawsze H. Mencken mówi o młodym biologu, praktykującym w uniwersytecie londyńskim, że lepiej by zrobił, gdyby przy tej profesji pozostał: „Wells ma za sobą trzy odrębne kariery. Zaczął od biologii skręcił do dziennikarstwa i literatury a wreszcie ustawił stragan z proroctwami. Co do mnie, sądzę, że byłby szczęśliwszym i pożyteczniejszym człowiekiem dla kraju i epoki, gdyby się był trzymał swego pierwszego zawodu".

Doświadczenia w pracowniach muzeum historii naturalnej w londyńskim South Kensington popchnęły Wellsa do pióra, do głoszenia zjawisk odkrytych w przyrodzie. Pracownie te wspomina wdzięcznie w powieściach („Miłość i Mr. Lewisham", 1905, oraz „The World of William Clissold", 1928) i w autobiografii z roku 1934. One formowały jego sposób myślenia. Jak pobyt w Indiach, a później nauka w kolegium Westward Ho, wychowującym urzędników dla imperium, urobiły postawę życiową Kipplinga, tak zajęcia laboratoryjne w bogatych londyńskich zakładach naukowych urobiły świat myśli Wellsa. Pierwszą jego książką był podręcznik biologii, pierwszymi rysunkami przekroje komórek i tkanek. Do pracy przykładał się tak pilnie, że zachorował na płuca. Musiał przerwać naukę i przebywać nad morzem.

W pierwszym okresie swej działalności, trwającym od 1895—1905, Wells przyznawał się do wpływu, jaki na niego wywarli R. L. Stevenson, E. A. Poe, Ruskin, Morris, Huxley, Shelley i ekonomista amerykański Henry George, lecz stanowczo zaprzeczał jakoby naśladował Jules Verne'a. W istocie jednak i dziś trudno oprzeć się wrażeniu. że ten właśnie pisarz pobudził jego wyobraźnię. Prawdopodobniejsze jest, że na twórczość Wellsa mogła mieć wpływ socjalistyczna powieść Edwarda Bellamyego „Looking Backward" (1888).

Niezwykle bogata twórczość tego okresu to jeden nie kończący się fajerwerk fantastycznych pomysłów, czerpanych z dziedziny nauki, lecz przetwarzanych tak, że blednie przy nich urojony. poetycki, irrealny świat poetów romantyzmu. Keats, Shelley, Byron, Southey, Coleridge ze wszystkimi swoimi pomysłami ballad, niesamowitych przygód i sytuacji — łatwo zostali pokonani przez Wellsa, który umie wyczarować fakty i światy, o jakich dotąd nikt nie słyszał.

Oto opowiada o zarazku, skradzionym z laboratorium uczonego przez anarchistę, który rzuciwszy go do wodociągów, chce zatruć cały Londyn, a w istocie na własnej skórze odczuwa skutki jego działania. Inny eksperymentator, kupiwszy bulwę orchidei, z trudem tylko obronić się może jej kwiatom, które wysysają krew. Na Borneo, do obserwatorium, przez otwór w dachu, wpada skrzydlaty stwór i rzuca się na laboranta. Chory inwalida jest świadkiem, jak z brzegu rzeki, po ścianie domu, wdziera się szaleniec Malaj z nożem w zębach, którego w ostatniej chwili strąca kula strażników. Malarz Harrington z trudem tylko zdołał ujść śmierci z rąk demona, którego postać namalował, a który za cenę geniuszu żądał jego duszy Kolekcjoner osobliwości o mało co nie pada ofiarą kuraka — olbrzyma, który wyrósłszy, ściga go po całej wyspie, grożąc zadziobaniem.

Niegdyś, przed stu laty, zachwycali publiczność Lary i Korsarze. Z początkiem wieku XX opowieści biologiczne spełniały tę rolę równie skutecznie. Pewnego pięknego dnia, jak niegdyś Byron, Wells obudził się sławny: na ustach wszystkich był „Wehikuł czasu" (1895): tajemniczy podróżnik w czasie, poruszający się w czwartym wymiarze świata, był wielką zdobyczą Wellsa. Skonstruowawszy mechanizm, w którym przemierzać może przestrzenie czasu, bohater wyrusza w swym aparacie i wyprzedza bieżącą chwilę na 802 701 lat, skąd ogląda kulę ziemską jako siedlisko dwóch różnych ras: eterycznych, uszlachetnionych, sielskich Eloiów i podziemnych, bladych Morlocków, potomków dwóch zamierzchłych klas społecznych, kapitalistycznej i proletariackiej. Ze zwiewną towarzyszką górnej sfery zwiedza awangardzista czasu ten nowy świat; traci towarzyskę, odzyskuje stracony wehikuł, pędzi ku zachodowi słońca, gdzie tylko potworne kraby pełzają na brzegach wód. Wróciwszy na miejsce startu w czasie, opowiada o widzianych cudach, wyrusza w nową podróż, z której już nigdy nie wraca. Zwarta konstrukcja powieści, potężny realizm, mistrzowskie odmalowanie środowiska wywołały powszechny zachwyt.

„Wojna dwóch światów" (1898) spotęgowała go jeszcze. Mowa tu o najeździe mieszkańców Marsa na ziemię. Na jednym z pól ujrzano — po zaburzeniach obserwowanych na Marsie — pocisk, który otwarłszy się wyrzucił z siebie dziwne istoty składające się z samych rąk i zwojów mózgu, opancerzone w metalowe osłony, zaopatrzone w mordercze promienie, które niszczyły wszystko, co im stało na drodze. Mimo oporu Londyn i okolice padły ofiarą napaści. Zdawało się, że w kilku dniach dziwni napastnicy zawojują cały glob. Nie przewidzieli oni jednak bakterii działających w ziemskiej atmosferze. Zostali przez nie zarażeni i zniszczeni. Kiedy w r. 1938 opowieść została w Ameryce zradiofonizowana i nadana jako słuchowisko, miała tak sugestywną siłę, że w USA powstał paniczny popłoch. Ludzie zaczęli uciekać z osad, niektórzy popełniali samobójstwo. Trzeba było radykalnych środków, by zapobiec powszechnej klęsce. Taką zaraźliwą moc mają wizje Wellsa.

Do tej serii należy „Człowiek niewidzialny" (1897), opowieść studenta Griffina, który, doprowadzony do rozpaczy biedą i podejrzeniami, wyzbywa się cech widoczności swego ciała i zaczyna grasować jako niewidzialny duch, włamywacz, złodziej i morderca, wywołując popłoch w całym kraju, póki po śmierci nie zostaje wreszcie ujawniony. „Pierwsi ludzie na księżycu" (1901) jeszcze bardziej fascynowali czytającą publiczność. Eksperymentator Cavor mógł przebyć międzyplanetarną przestrzeń dzięki zneutralizowaniu siły przyciągania ziemskiego. Pozostawiony na księżycu przez towarzysza, nie mogącego go odnaleźć wobec groźnej postawy Selenitów, Cavor przez pewien okres nadaje drogą promieni elektrycznych wieści ze swego miejsca pobytu, jakby biuletyn z przesłuchań przez swych nowych władców.

Trafiwszy na swoją złotą żyłę Wells produkował całe tomy short stories tego typu: np. „Dwanaście opowieści i sen" (1903), albo „Pokarm bogów" (1904). Opowiada tu o herakleoforbii, która miała tę właściwość, że robiła spożywających ją olbrzymami, co w pewnej chwili groziło wytępieniem ludzkości na globie ziemskim.

Nie ulega wątpliwości, że prestigitatorskie żonglerstwo Wellsa tematyką fantastyczną trwało, biorąc pod uwagę jego talent pisarski, trochę za długo. Silna inklinacja do zużytkowywania wątków autobiograficznych, nagromadzone obserwacje — od pierwszego postoju, od biednej klitki sklepikarskiej w Bromley, poprzez prace subiekta, studia i pierwsze powodzenia aż do kariery pisarza — przejawiły się żywiołowo w opowiadaniach o tradycyjnym charakterze powieściowym, pojawiających się licznie w drugiej dekadzie autorskiej Wellsa między 1905—1915. Wyprzedziła ten genre „Miłość i Mr. Lewisham" (1900), gdzie bohater, świetnie się zapowiadający osiemnastoletni naukowiec, zaprzepaszcza swoje szanse, żeniąc się za wcześnie i bez należytego wyboru. Teraz pisze Wells powieść za powieścią. A to: „Kipposa czyli historię prostej duszy" (1905), „Annę Weronikę" (1910), „Historię pana Polly" (1910), „Nowego Macchiawellego" (1910), „Małżeństwo" (1911), „Namiętnych kochanków" (1912), „Żonę sir Izaaka Harmana"

(1914), „Wspaniałe poszukiwanie" (1915) i inne. Wszystkie, a zwłaszcza cztery pierwsze, należą do najudatniejszych artystycznie utworów Wellsa, wykazują doskonałą obserwację, dużo humoru, prawdy, plastyczną, uderzającą trójwymiarowość, obracają się w kręgu osobistych doświadczeń autora, przypominają manierę Dickensa.

Klasyczny jest pod tym względem „Kipps", przypominający Dawida Copperfielda. Sierota, nieślubne dziecko, tuła się po różnych zakładach i kiepskich szkółkach, idzie na naukę do bławatnika Folkestone. Wśród nudnych zajęć ekspedienckich znajduje czas na flirty ze sklepowymi, przygody i eskapady, aż wreszcie przez przyjaźnienie się z aktorem i obieżyświatem traci posadę i utrzymanie. W tej chwili wkracza w jego życie szczęśliwy los w postaci pokaźnej schedy. Natychmiast znajdują się dobrze sytuowani przyjaciele, rodzina Walsinghamów, wytworna narzeczona, starająca się koniecznie podciągnąć towarzysko nieokrzesanego posiadacza spadku. Ale naturalny, dobry, uczciwy podkład psychiczny Kippsa zwycięża. Otrząsa się spod wpływu pretensjonalnych opiekunów, wraca do prostej, skromnej towarzyszki z dni swej młodości i ożeniwszy się z nią zakłada z pomocą wiernego aktora, dziś wielkiego artysty o światowej sławie, księgarnię w Hythe. Jak Dickens, Wells rozkoszuje się włóczęgami swego bohatera.

Mr. Polly posunął swój bunt przeciwko rygorom krępującego obyczaju znacznie dalej niż Kipps. Doprowadzony do rozpaczy małżeństwem z kobietą nieinteligentną i złymi interesami w sklepie, rujnowanym przez konkurencję, podpala zdesperowany budę i ulatnia się przed zgrają interesantów i rodziną. Kiedy po latach powraca pokryjomu i widzi, że żona otworzyła z pieniędzy asekuracyjnych inny interes, ucieka czym prędzej, zresztą za wiedzą żony, by nie pokazać się więcej na oczy swemu miastu. Wells pozbawił scenę powrotu wszelkiego sentymentalizmu, tak charakterystycznego w podobnej sytuacji w „Enochu Ardenie" Tennysona.

Dalsze utwory powieściowe tego okresu wyrażają coraz częściej ideologię socjalistyczną. Wells nie był nigdy socjalistą w rozumieniu marksistowskim. Nie w zjednoczeniu klasy robotniczej wszystkich krajów widział Wells przemianę społeczną świata, lecz raczej w upowszechnieniu dóbr cywilizacji w szerokich masach, którego to upowszechnienia dokonać muszą działacze, politycy, intelektualiści. Jak większości anglosaskich reformatorów społecznych, dialektyka marksistowska społecznego rozwoju była Wellsowi obca. Socjalizmu uczył się u prosperującej podówczas grupy fabiańskiej. Ale i u Fabianów nie popasał długo, związany z nimi jedynie w latach 1903—1906. Interesując się przemianami społecznymi, a jeszcze bardziej politycznymi, propagował przez pewien czas, szczególnie do pierwszej wojny światowej, przebudowę ustrojów państwowych w zjednoczoną republikę światową, The World State. Myśl ta przewija się szczególnie poprzez powieści „The New Macchiavelli" (1911), „The Passionate Friends" (1913), „The World Set Free" (1914) i „The Research Magnificent" (1915)

Trafnie określa Wells w tych opowiadaniach rolę kobiety w społeczeństwie XX wieku. Jeden z jego bohaterów, Remington, próbuje przeprowadzić projekt ustawy o wynagradzaniu macierzyństwa, podkreślając demograficzną ważność funkcji biologicznej kobiet. Politycy występujący w tych powieściach to „arystokraci ducha", widzący zbawienie świata w przebudowie imperium angielskiego. Tak jak ich twórca Wells, nie umieją nigdy wznieść się ponad brytyjski sposób myślenia. Są Anglikami, postępowymi, walczącymi reformatorami, ale nie wychodzą poza magiczny krąg przekonania o misji Anglosasów w świecie. Takim jest przede wszystkim — najbardziej pośród tych „reformatorów idealnie myślący — William Porphyry Benham z „Research Magnificent". Zwiedza on kontynenty, bada nastroje, marzy o nowej przyszłości świata.

Już na progu wojny światowej Wells w „The World Set Free" (1914) wyłamuje się częściowo spod tych swoich etnicznych, wyspiarskich kręgów myślenia. W roku 1933 — takie jest założenie opowiadania — naukowiec Holsten, przez rozbicie atomu, otrzymuje potężne źródło nowej energii, którą zastosowuje do motorów i wszelkich napędów, rewolucjonizując dotychczasowy przemysł, ekonomikę i wytwórczość. W roku 1958 wybucha wojna między państwami centralnymi i konfederacją Słowian, powodując ogólną rzeź i zniszczenie. Przywódcy ludów kładą kres ogólnej pożodze przez zaprowadzenie unii państw. Dziewięćdziesięciu trzech królów i prezydentów składa władzę na ludowładczym zebraniu na 'ące u stóp góry Brissago w Szwajcarii. Tam, gdy zakwitły lilie św. Brunona, rodzi się nowy porządek świata,

rys. Józef Simpson
H. G. Wells

związek państw, The World State. Rada starszych ustanawia nowe prawa, znosi przymus pracy wykonywanej odtąd przez silniki pędzone energią atomową. Marcus Karenin, prorok nowego ustroju, wieści sens nowej uniwersalnej metamorfozy.

Wells pomylił się co do daty: nie w 1958, lecz w 1945 bomby atomowe położyły kres wojnie. Ustrój głoszony ze szczytów Brissago, realizowany przez Organizację Narodów Zjednoczonych, nie odbiega tak radykalnie od utartego, odwiecznego typu praw rządzących polityką państw. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę, że już w roku 1903, w opowieści „The Land Ironclads", opisał Wells walki dwu armii mocujących się długo w okopach i rowach strzeleckich — które rozstrzygnęło wreszcie użycie czołgów i tanków; ponadto, że w roku 1908 w powieści „The War in the Air" opisał przejmująco zniszczenie świata przez flotę powietrzną, szczególnie niemiecką — to nie możemy mu odmówić pewnej przenikliwości, tego, co H. Mencken nazywa zjadliwie przepowiadaniem przyszłości.

Wybuch wojny w 1914 poruszył w Wellsie wszystkie jego brytyjskie wnętrzności. Znany jest jego list z tych dni, kiedy nawołuje nawet starców i kobiety do chwycenia za flinty, łopaty i widły, jeśli Niemcy pokażą się u brzegów Doveru. Ale w roku 1916 myśli już spokojniej. Jak tego dowiadujemy się z powieści, a raczej pamiętnika: „Mr. Britling Sees it Through". bo ten Mr Britling to jedna z najbardziej autobiograficznych masek Wellsa. Czytając listy z frontu, opłakując stratę bliskich i znajomych, w tym i Niemca, korepetytora synów, Britling, w pierwszym roku zgłaszający się, acz bezskutecznie, na ochotnika do wojska, teraz reflektuje się. że to przecież nonsens, rzeź i klęska. Wszak w każdym kraju są ludzie uczciwi, szczerzy i dobrzy. zdający sobie sprawę, że są braćmi z jednej krwi i kości, dziećmi jednego Boga.

Myśl o Bogu, niewidzialnym królu braterskich dusz, jednoczących się mimo granic, ras i wyznań, towarzyszy odtąd Wellsowi przez długie lata. W „The Soul of a Bishop" (1917), elekt rzuca wszystkie dostojeństwa, pokój i dostatek, by zejść między prostaczków i czcić na swój sposób Boga. Myśl o Bogu wyczuwa się w powieści pedagogicznej „Jane and Peter" (1918), gdzie dwoje młodych wznosi się na niezwykły poziom etyczny, poświęcając swe siły propagowaniu idei Boga, niewidzialnego króla świata. Teokratyczna spekulacja Wellsa uznaje Boga za twórcę kosmosu, zbawiciela, pocieszyciela dusz, władcę świata sprawiedliwego, ale nie skłonnego do litości. Pogląd ten nie podważył materialistycznych i ewolucjonistycznych podstaw jego poglądu na świat.

Ta postawa metafizyczna przebija się wyraźnie w „Niegasnącym ogniu" (1919), który jest jednym z najciekawszych etapów myślowych Wellsa. Sam temat, zaczerpnięty z ksiąg Starego Testamentu, świadczy o charakterze religijnym dzieła. Opowiada w nim Wells o cierpieniach wewnętrznych, duchowych, Hioba Hussa, rektora szkoły, który uczyniwszy podstawą nauczania i wychowania w zakładzie zasadę o uświadomionej solidarności wybranych dusz, bez względu na czas i przestrzeń, kierowanych przez Boga, niewidzialnego króla, załamuje się w chorobie i zwątpieniu, czy istotnie jest przedmiotem troski Boga. Przyjaciele przychodzą do Hioba i roztrząsają problemy świata. Otucha i wiara wychodzą zwycięsko z doświadczenia.

Wells, dawny nauczyciel szkoły średniej, wziął wzór do postaci Hioba Hussa z wybitnego pedagoga Sandersona of Oundle, którego życiorys ogłosił drukiem w 1924. Nastrój z roku 1919, z czasu pisania „The Undying Fire", pełen moralnej problematyki i ulegania wpływom Biblii, stoi w genetycznym związku z powstaniem jego przełomowej „The Outline of History" (1920), być może najważniejszego dzieła wellsowskiego.

Obmyślając metody i środki przysposobienia dusz idących pod natchnieniem Boga, niewidzialnego króla, postanowił Wells stworzyć kanon nowoczesnych ksiąg, ujmujących całość świadomej wiedzy o świecie. „Historia świata" miała być cząstką tej głębokiej Biblii. Zahuczało w cichym domku w Easton Glebex, w hrabstwie Kent, od dyskusji i narad. Do współpracy wciągnięto wielu specjalistów, m. in. prof. Gilberta Murraya. Gotowe dzieło wydano pierwotnie w dwóch tomach, potem w 1929 w jednym tomie, prócz tego skrót pt. „Short History of the World". W pierwszym okresie po ogłoszeniu sprzedano dwa miliony egzemplarzy. Wells wyraźnie zastrzega się, że nie spodziewał się takiego sukcesu. W roku 1929 rozszerzając myśl dzieła, Wells wraz z synem, G. P. Wellsem, także biologiem i Julianem Huxleyem stworzyli równie wartościowy, równie ogromną poczytnością cieszący się foliał, „The Science of Life".

Przedstawiwszy dzieje ludzkości ze stanowiska darwinowsko-ewolucjonistycznego, wrócił Wells do twórczości powieściowej i do pamfletów, ulubionej swej broni w walkach politycznych. Wybitnym jego osiągnięciem w tym okresie jest wielka powieść pt. „The World of William Clissold" (1926). W szerokim. potoczystym strumieniu tej książki odbija się wiele tez i problemów, poruszonych w „Historii". Czytelnik ma wrażenie, że autor nie może otrząsnąć się z wizji nawiedzających go podczas tworzenia tamtej syntezy. Na wielką miarę została też zakrojona „Próba autobiografii — odkrycia i wnioski zupełnie zwyczajnego mózgu" (1934).

W roku 1922 i 1923 w wyborach powszechnych do Izby Gmin kandydował Wells z ramienia uniwersytetu londyńskiego jako przedstawiciel Labour Party. Za pierwszym i drugim razem został pobity. Pisarz próbował inaczej wpływać na rozwój wypadków. Jeździł z odczytami do Sorbony, przemawiał o pacyfizmie w Reichstagu (1928); odwiedził Rosję i rozmawiał z Leninem. Nie przewidział jednak przyszłego rozwoju republiki radzieckiej („Russia in the Shadows", 1920).

Trwające rządy konserwatystów i nawrót do reakcji społecznej niecierpliwiły Wellsa. Powieści jego były protestem przeciw Anglii i Baldwina i torysów. Z jakąż rozkoszą duch jego unosił się w regionie utopii, ukazujących mu daleką przyszłość innej, demokratyczniejszej Anglii i przez nią zmieniony obraz innych społeczeństw. Obserwował pilnie Stany Zjednoczone, podkreślając młodszość i inność ich kultury, wywodzącej się z elementów kupieckich i purytańskich. z wyłączeniem pierwiastków feudalnych. W roku 1934 konferował z Franklinem Rooseveltem, zainteresowany jego planem przebudowy ustroju USA.

Spośród powieści Wellsa między rokiem 1920—1930 uwzględnimy szerzej tylko cztery najlepsze: „Ludzie jak bogowie" (1923), „Sen" (1924), „Ojciec Krystyny Alberty" (1925), „Strajk" (1927). Dwie pierwsze mają charakter utopijny. Nawiązując do „Modern Utopia" z roku 1905, pozwalają nam wyobrazić sobie świat takim, jakim chciałby go widzieć Wells. Trzecia jest krytyką angielskiego prawodawstwa o ludziach psychicznie chorych. Czwarta to komentarz do strajku z r. 1926, który był próbą sił lewicowych w Anglii, podjętą przeciw reakcyjnej prawicy będącej u steru w okresie 1919—1945.

W powieści „Ludzie jak bogowie" czuje się lwi pazur narratora. Mr. Barnstaple, współpracownik i zastępca w organie pesymistycznej myśli postępowej pt. „The Liberal", umyśliwszy wydostać się na parę dni wolności, zdala od Londynu i uprzykrzonej rodziny, wjeżdża na

H. G. Wells

szosie maidenheadskiej, w pobliżu Widsoru, wskutek eksperymentu dwojga utopian, Ardena i Zielonej Fali, w ich krainę istniejącą w czwartym wymiarze, równolegle do naszego globu.

Wszystko co marzyciela-Wellsa oburza na biednym ludzkim globie — militaryzm, przesadna pruderia, nonsens urządzeń społecznych, głupota konwenansów — znikło w owej świetlanej przestrzeni, w której znalazł się p. Barnstaple. Po miesiącu, pokrzepiony, zmężniały, pożegnał się z ciężkim sercem z mieszkańcami istniejącego tuż obok zaświata i powrócił na łono rodziny, nie zdającej sobie sprawy, jakie przeżył cuda.

Mniej teoretyzowania na temat uszczęśliwiania ludzkości a więcej doraźnej satyry na społeczeństwo współczesne, widziane z odległości dwóch tysięcy lat, zawarł Wells w „Śnie". Niezwykłość opowiadania polega na odwróceniu stosunku rzeczywistości. Rzecz dzieje się w dwa tysiące lat od chwili obecnej. Fantastyczna opowieść Henryka Mortimer-Smitha, reinkarnowanego później Sarnaca, daje autorowi sposobność do przenicowania i krytycznego osądzenia wszystkich urządzeń współczesnego życia — od wychowania, religii, macierzyństwa do polityki, rządów, wojen, systemu kapitalistycznego włącznie. Powieść jest jak gdyby projektem nowego porządku świata, jakby „Magna charta" swobody i wolności, szczęścia i postępu.

Natchnioną książką jest „Ojciec Krystyny Alberty", opowieść o geniuszu ludzkim opętanym manią wielkości. Z pogardą patrzy Premby na świat po wyzwoleniu się od żony, która przez dwadzieścia lat małżeńskiego pożycia przykuwała go do przyziemnej, głuchej, nonsensowej egzystencji w małym miasteczku. W duszy jego drzemały sny, marzenia o czymś wielkim, przeczucia przemian, których chciał dokonać. W książkach, w rzadkich okazach wykopaliskowych, w podaniach o zatopionych kontynentach, szukał wskazań dla siebie, aż, tknięty anamnezą, zostaje Sargonem i chce zmienić stosunki w kraju i w świecie całym. Pierwszą jego myślą po uświadomieniu sobie misji jest nabyć mapy i planisfery globu, który mu podlega. Mierzenie swych sił, lustracja ludu na Trafalgar Square i z kopuły katedry św. Pawła — to wstępne etapy królewskiego obejmowania władzy nad ludem. Ileż wzruszeń, drobnych tryumfów, a wielkich rozczarowań, upokorzeń i bólów zniósł on, póki nie pojął w pokorze ducha, że jest królem, ale symbolicznie. Że odziedziczył jak wszyscy, którzy pragną dokonać czegoś wyższego, puściznę bohaterów ludzkości. Niezwykła to figura, symbol odwrócenia się od indywidualizmu i jego drobnych spraw do rzeczy ogólnoludzkich, uniwersalnych, do kolektywizmu, w którym człowiek myśli, działa, chcąc dźwignąć miliony, — wyraz nowoczesnego altruizmu, humanitaryzmu, którego tak wymarzonym apostołem jest Wells.

„Strajk" ma bardziej doraźny charakter. W ujęciu Wellsa to zjawisko ekonomiczne i socjologiczne ma się stać i staje się początkiem odrodzenia duchowego jednego z potentatów węglowych Anglii, żyjącego w cudownych ogrodach la Mortola koło Ventimiglia, Filipa Rynsdala. Rynsdal pod wpływem strajku staje się innym człowiekiem, gotowym do zrealizowania idei społecznych, głoszonych przez swego nauczyciela Sempacha.

W listach Rynsdala, pisanych z Anglii objętej strajkiem, Wells nie szczędzi torysów. Wszystkie ważniejsze figury gabinetu Stanley Baldwina: Winston Churchill, kanclerz, Johnos Hics, minister spraw wewnętrznych, Amery (kolonie), dostają się pod zaporowy ogień ironii autora. Najczarniej przedstawia Rynsdal arystokratów, właścicieli kopalń. Lord Edensocke, stryj Rynsdala — to istne monstrum egoizmu klasy posiadającej.

Rozpęd humanitarny prozelity Rynsdala pcha go do zupełnej zmiany życia. Willa i ogród na Rivierze włoskiej pójdą w ręce botaników. On, żona i dziecko, które przychodzi na świat w tym okresie oczekiwania Wielkiej Epoki, wrócą na zawsze do Anglii, aby tu u boku ludu pracującego walczyć o ukształtowanie rzeczywistości według ideałów Sempacha, którego utopie, niezależnie od strajków, dzięki wielkiej twórczej energii umysłów, doczekają się wprowadzenia w czyn. Nie omawiam innych ataków na rządy konserwatywne tego okresu, przedsięwziętych przez Wellsa, a wyrażających się w publikacjach takich jak „Dealby", „Wyspa wariatów" i „Król, który był królem", oraz innych.

Czas skończyć przemowę nad grobem wielkiego pisarza. J. B. Priestley powiedział, że kiedy Wells zaczynał mówić, ze słów jego rodziła się światłość umysłów. Richard Aldington określił go dokładniej, choć nie tak poetycznie: „Z lekkim sercem daruję Wellsowi jego obojętność wobec poezji i malarstwa i jego filisterskie pojmowanie życia. Wykazuje on wielką siłę umysłu i zdolność gromadzenia wielkiej ilości faktów i to w sposób pobudzający do myślenia. Kładzie nacisk na ważność wiedzy w epoce, kiedy pisarze wyraźnie jej nienawidzili. Jego odczucie ciągłości logicznego rozwoju dziejów rodzaju ludzkiego posiada niecodzienną wartość. Ono to pozwalało mu przewidywać nieraz bardzo trafnie zdarzenia mające nastąpić w przyszłości, co wprawiało jemu współczesnych w podziw".

Prasa przynosi szczegóły o twórczości Wellsa w ciągu wojny 1939—1945. Jednym z najbardziej intrygujących tytułów jest: „You Can't be too Careful, a Sample of Life 1901—1951". Nowa synteza? Z zaciekawieniem oczekujemy tej bodajże stodziesiątej książki niezapomnianego H. G. Wellsa.

Stanisław Helsztyński

W poprzednim 38 (95) numerze „Odrodzenia" z dnia 22 września 1946 r.: **Konstanty Grzybowski:** Przemiany w polskim nacjonalizmie. — **Julian Przyboś:** Nowe poezje: Noc majowa. Na pejzażu. Na „Dzień ptaków". Ulotna. — **Barbara Zdanowska:** Krajobraz pomorski. — **K. W. Zawodziński:** Stulecie trójcy powieściopisarzy. Bolesław Prus. — **Stanisław Mackiewicz (Cat):** Zajmujemy się proszkiem od bólu głowy. — **Julian Przyboś:** Przestrzeń piechura i przestrzeń ptaka. — **js.:** Preliminarz budżetowy. Oświata. Kultura. — **Tadeusz Dobrowolski:** Dogmat i tabu. — Z dawnej poezji rosyjskiej: **Julij Nieledinski-Mielecki** (przełożył **Stanisław Trembecki**): • • •. **Wasyl Żukowski** (przełożył **Seweryn Pollak**): Do umarłego (Pamięci Aleksandra Puszkina). **Piotr Wiaziemski** (przełożył **Mieczysław Jastrun**): Do siostry Puszkina. — **Dymitr Wieniewitinow** (przełożył **Czesław Jastrzębiec-Kozłowski**). Życie. — **Kondrat Rylejew** (przełożył **Władysław Syrokomla**): Wojnarowski. Cz. I. — **Edmund Zdanowski:** Jesienią nad Bałtykiem. — **Tadeusz Peiper:** Z epizodów wrześniowych. — **Mary Bancroft** (przełożył **Jacek Frühling**): La France éternelle. — **Stanisław W. Berezowski:** Kłopoty ludnościowe Francji. — **Józef Sieradzki:** Wspomnienie o Piusie II. — Jeszcze o Wrześniu. — **Stefan Papée:** Wśród książek. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia". (**Bolesław Jacek Frühling, Alicja Iwańska, Czesław Schabowski, Andrzej Wojtkowski**). — **Józef Sieradzki:** Osiem dni. — **jp:** Pluralis maiestaticus. Bąk o Kasprowiczu. — **kjw:** Szkoła krytyków: Poczta, której nie ma. — Korespondencja (**Stefan Srebrny, J. A. Szczepański, Ewa Szelburg-Zarembina, Mieczysław Choynowski, Józef Sieradzki**). — **jaszcz:** Przegląd prasy. — **js:** Tylko dla bogatych. Produktywizacja Żydów. — **jaszcz:** Lelewel a Czukowski. Europa? — — 8 ilustracji.— 12 stron.

KAZIMIERZ WYKA

Lęki, gesty, miejsca, czasy...

Stefan Otwinowski. Czas nieludzki. Powieść. Katowice, „Oficyna Wydawnicza" (1946); str. 130 i 2 nl.

Tom Stefana Otwinowskiego „Czas nieludzki", nazwany przez autora powieścią, pobudza przede wszystkim do rozważań na temat form współczesnej prozy. Rozważania dotyczą samego oznaczenia tego tomu przez autora: powieść. Rzecz Otwinowskiego mało ma bowiem wspólnego z powieścią, rozpoczynając od rozmiarów aż po kardynalne prawa budowy powieściowej. W rodzaju zatem, do którego należeć pragnie, jest utworem chybionym. Podobny sąd byłby jednakże przedwczesny i krzywdzący. Nie bardzo należąc do powieści, jako gatunku, „Czas nieludzki" stanowi tom interesującej i dobrej prozy. Rodzaj zaś postawionych w tej książce problemów i utrwalonych w niej przeżyć jest oryginalny i różny od tego, co pisze się na temat okupacji.

Pomówmy najpierw o „Czasie nieludzkim" jako powieści. Są to dzieje grupy przyjaciół powstałej w czasie wędrówki wrześniowej. Poznajemy ją gdzieś na drogach pomiędzy Wisłą a Bugiem, wśród powszechnych przejść wrześniowych. Skład grupy jest dosyć przypadkowy, tylko pochodzenie łączy wszystkich: są to warszawiacy, typowi w przywiązaniu do tego miasta, czujący się swojo dopiero w jego murach. Marek Omiecki, Wacław Mittel, Paweł Grun, Zbigniew Rafalski, Zygmunt — oto nazwiska tych przeważnie intelektualistów, z najbardziej typowymi (i wyodrębnionymi jako postaci powieściowe) Markiem, pisarzem oraz Zbigniewem, urzędnikiem w wielkim wydawnictwie.

Po kapitulacji stolicy przyjaciele powracają do niej. Marek zastaje swój dom i żonę bez zmian. Samotny Wacław nie spotka już matki Zaginęła w ostatnich dniach oblężenia. Zbigniew znajduje dom niezniszczony, ale żonę, dotąd samotnicę i kurkę domową, odmienioną do niepoznania. Dom Pawła nie istnieje. I tak w życie każdego z przyjaciół wcisnęła się wojna. Natychmiast po niej wciska się okupacja i to stanowi główny temat powieściowy „Czasu nieludzkiego" — **oswojenie z okupacją.** Tematy myślowe będą inne i liczniejsze, temat powieściowy jest tylko ten: oswojenie z okupacją w obrębie Warszawy.

Wśród dobrze zapamiętanej i odtworzonej Warszawy pierwszych lat okupacji Otwinowski przedstawia formy tego oswojenia. Dokonuje się ono tak, jakgdyby Warszawa stanowiła wyspę odgrodzoną od rzeczywistych zdarzeń wojny i wystawioną na ciosy jej tylko zadawane. Nie słyszymy prawie o niczym, co by się działo poza murami tego miasta; panuje w tej książce ten ego centryzm własnego losu, jaki uderzał nieraz przybywającego do Warszawy. Niektórzy z przyjaciół od razu nie mogą się oswoić. Wacław zaraz po powrocie popełnia samobójstwo, Zygmunt ginie w ucieczce i walce. Paweł w obozie koncentracyjnym. Marek przechodzi torturę śledztwa. Wszyscy organizują od nowa swoje życie, prace i zarobki. Zmora okupacyjna narasta jednak, chociaż „Czas nieludzki" nie obejmuje wszystkich jej lat: najwyżej po rok 1942. Książka jest pisana z samej głębi okupacyjnej nocy i stąd zapewne jej pełen lęków i trwogi wydźwięk.

Zmora narasta i pod koniec szczupłego utworu (rozmiarami podobnego do wielkich opowiadań Iwaszkiewicza) gromada przyjaciół na nowo się skleja. Z dawnych pozostali tylko Marek i Zbigniew. Przyjaciele wymykają się złemu miastu na wieś w nadziei, że może tam okupacja mniej im dokuczy. Zamiast na wieś spokojną trafiają na ten sam, co we wrześniu, szlak wędrówki. Tymi samymi akcentami, tą samą sceną przedstawiającą ludzi skazanych na tułaczkę, jaką się książka rozpoczynała, również się i kończy. Ten sam sołtys, który we wrześniu opiekował się przyjaciółmi, udziela im teraz bezradnych pouczeń: „Idziecie panowie. Dobrze. Zawsze lepiej bliżej wielkiego lasu. Nasi się tam wami zajmą. Las, panowie, zawsze ocali".

Takie zakończenie utworu bynajmniej jednak nie wygląda na zaproszenie do partyzantki. Miejscy przyjaciele na pewno do leśnych ludzi nie przystaną. Dlaczego, zrozumiemy poznawszy bliżej ich bóle i lęki. Nie piszę tego w formie zarzutu co do ich psychiki. Trudno, są tacy jacy są. Piszę natomiast w formie zarzutu mówiącego, że zakończenie tej książki nie zamyka, ani nie wyczerpuje jej tematu. Podobnie zresztą jak w całej książce. Temat powieściowy nie jest sprawą, która by Otwinowskiego głównie obchodziła. Obchodzą go natomiast pewne myślowe tematy książki, podzielone na kilka wyraźnych faz, pewne sensy przewijające się przez całą powieść bez większego baczenia na to, czy z psychiką danej postaci są zgodne.

Jakież to sensy i jakież to fazy? Marek Omiecki tak powiada gdzieś pod koniec tomu: „Na nic cały dotychczasowy świat. Cały dotychczasowy porządek natury. Trzeba znowu wszystko od początku. Wyłapywać tylko te rzeczy najważniejsze, tylko te gesty najbardziej ludzkie... Wyłapywać te najbardziej ludzkie gesty" — powtórzy za chwilę i jest w tym powiedzeniu humanistyczny program „Czasu nieludzkiego". Otwinowskiego obchodzą bowiem przede wszystkim te gesty najbardziej ludzkie, fundamentalne, z których odbudowuje się wstrząśnięta do dna rzeczywistość. Uwrażliwiony jest szczególnie na pewien zakres: ten, który staje się dostępny człowiekowi, co jak bezsilny a myślący kamień chwycony został w tryby okupacji.

Książka Otwinowskiego nie jest bowiem książką o ludziach aktywnych. Jeden jedyny Zbigniew, organizator i optymista, nie łamie tej reguły. Jest książką o ludziach doznających, przerażonych swoją wrażliwością. Dopiero w ostatecznej determinacji, na skraju rozkładu osobowości zdobywających się na gest czynny. „Czas nieludzki" mówi bowiem najczęściej o ludziach, którzy się boją. Strach jest głównym składnikiem psychologicznym tego czasu, a do strachu mało kto się chętnie przyznaje. W tym przyznaniu jest przeto odwaga psychologiczna i artystyczna Otwinowskiego, tym godniejsza podkreślenia, że związków strachu i wstydu jest on świadom i w sposób oryginalny potrafi o tych związkach mówić: „to jest czas nieludzki. Wzory? Bez wstydu — a strachem szczurów, lisów i mrówek. — Wzorem szczurów, lisów i mrówek".

Strach zatem, jako najbardziej instynktowny gest deptanej osobowości ludzkiej, jest centralną sprawą tej książki. Śledzi ją Otwinowski w jej przelicznych rozgałęzieniach psychologicznych. Wśród nich największą uwagę przykłada do problemu dekompozycji osobowości pod wpływem lęku. Przykłada ją do pogmatwanych zjawisk obronnych naszego ja, do pokus, by przestać nareszcie walczyć, by poddać się rozkładowi jaźni. Miasto jest osaczone i osaczeni są w nim ludzie. „Boimy się utraty tego wewnętrznego związku — powiada gdzieś Marek — ale działa również coraz częściej silny głos, żeby zrezygnować, żeby w zespoleniu z siłami zewnętrznymi nie istnieć wewnętrznie, żeby biec gdzieś, cholera, żeby się wyzwolić"

Stwierdzić należy, że analizy psychologiczne przynależnych tutaj stanów, czy będzie to dwukrotna wizja tłumu pod bombardowaniem miotanego paniką, czy liczne opisy nocnych niemieckich najść i rewizji, czy śledztwo i znęcanie się nad Markiem w gestapo, uderzają swoją prawdą. Wyglądają niczym prozaiczne załączniki do wierszy Jastruna z „Godziny strzeżonej". Równie cenne są dalsze obserwacje na ten temat, jak sprawa „zjawisk ubocznych" ratujących przed strachem, a tak wnikliwe zrozumienie powodów lęku przed śmiercią gwałtowną, przysposobioną przez drugiego człowieka, do jakiego w jednej ze swych rozmów dochodzą Marek i Paweł, zaliczyć wypada do rzędu odkryć psycho-moralnych o bezwzględnej słuszności: „Myślę, umrzeć trzeba. I to nie jest straszne. Ale zabijać nie wolno. Przygotowywać nie wolno. Organizować śmierci nie wolno. Nikt nie ma prawa. Żadna racja. To tylko nasza rzecz. Nasza własna. To, co oni robią to jakby nowy falsyfikat szatański. Sposób w sprawie, która nie ma sposobu".

W tym centralnym problemie „Czasu nieludzkiego" widzę nie tylko autentyczną zdobycz pisarską. Nie łudźmy się, by przeżyte za okupacji stany ostatecznego lęku dały się wymazać z dusz ludzkich przez sam fakt, że należą do przeszłości. Dojrzałym ludziom częściowe zapomnienie przeważnie się powiodło; powrót do życia utorowanego i wyrobionego wcześniej, nim położyły się na nim koszmary, niweczy ich siłę. Lecz już ludzie z obozów milczą zazwyczaj

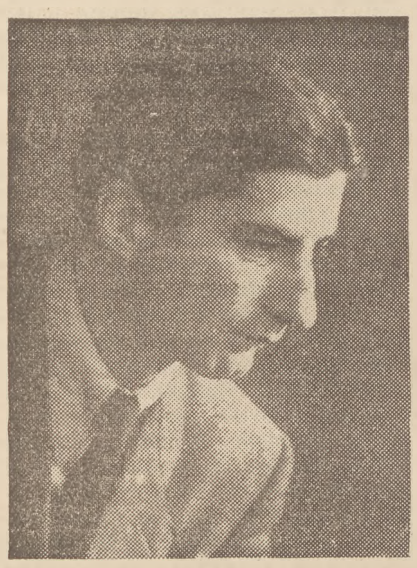

Stefan Otwinowski

o strachu, który bywał wstydem. Milczenie takie również leczy — ale zapytajcie o ich sny.

U młodych natomiast i najmłodszych koszmary i lęki okupacyjne przeszły w stan przytłumionych kompleksów i nadal rozkładają ich osobowość. Pedagodzy, umiejący obserwować dzieci i młodzież, mogą wiele powiedzieć o tym, jak trwają w duszach przytłumione przerażenia, jak dekomponują u dzieci uwagę, jak odbierają skupieniu jego trwałość, jak wywołują przesadną pobudliwość. Wystarczy z nimi porozmawiać, zwłaszcza w szkołach warszawskich, by ocenić, że postawiony przez Otwinowskiego problem jest społecznie ważny i każda słuszna zdobycz psychologiczna, osiągnięta w tej dziedzinie przez pisarza, należy do terapii ogólnospołecznej. Zwłaszcza, że jak świadczy kilka scen powieści, Otwinowski posiada zainteresowanie dla gromadnej psychologii dzieci i kto wie, czy z tych tematów nie byłby zdolny wysnuć jakiś z nienapisanych swych utworów.

Obok strachu szukanie ratunku przez gest świadczący o tym, że nie dokonała się jeszcze dekompozycja duszy, oto druga najważniejsza dla Otwinowskiego sprawa. Dla ludzi zamienionych w myślące kamienie koniecznym świadectwem ich wolności bywał często gest na pozór bezcelowy, tyle że utwierdzający w człowieku jego jedność psychiczną. Otwinowski przeprowadza rehabilitację psychologiczną tego ratunkowego gestu. Przeprowadza ją na kilku bardzo prostych zdarzeniach, jak rewolwer, znak możliwej obrony wręczany przez Zygmunta Markowi, jak czyn Marka, gdy ten ładuje kopniaka w brzuch hitlerowskiego szczeniaka.

Kto jednak czyta uważnie, zwłaszcza komentarze towarzyszące znaczeniu tych gestów, ten dostrzeże ich ciąg dalszy sięgający po gest bohaterskiego oporu i wytrwania. Tego gestu nie zbraknie również u Otwinowskiego (śmierć Zygmunta), chociaż ta oszczędna i skromna książka niechętnie sięga w sferę patosu. Daje jej za to dostępny każdemu fundament. Daje go w formie dalekiej od wszelkiej uroczystości, rozmyślnie szarej i nastawionej na codzienność okupacyjną. Dlatego chwila zwątpienia jest w tej książce chwilą zwątpienia o wartości tych najprostszych odruchów, jakie pozostały zgnębionemu człowiekowi. Oto jak wątpi Marek: „Dzień podobny do dnia, kilka zawsze tych samych gestów, kilka słów. Olbrzymia, najbardziej męcząca luka dramatu. Tak właśnie biegł czas, w największym odarciu w największej prawdziwości. Trzeba być w tym wszystkim aż tak bez reszty, żeby znać prawdę istnienia... Ale gdy dochodzi do dramatu — czy rzeczywiście wiele więcej? Znowu kilka, szybciej zaledwie następujących odruchów i koniec... Gdy tak o tym myślał Marek, wiedział, że przeżywa swój największy kryzys".

Sprawę gestu i lęku wyprzedza u Otwinowskiego chronologicznie inny, nie mniej ciekawie wyznaczony problem psychologiczny. Wyprzedza dlatego tylko chronologicznie, a nie bynajmniej w jakiejś skali ważności, ponieważ problem wspomniany ważny jest póty, póki bohaterowie książki nie oswoili się z nowym układem rzeczywistości, wywołanym klęską wrześniową; później ten problem z natury rzeczy zanika. Jest nim sprawa oswojenia się człowieka z wielkim przewrotem, szukanie jak przy strachu, „ubocznych zjawisk" ratunku. Oswojenie z okupacją. Dokonuje się ono wśród innych szlaków psychicznych, na imię im — miejsca i czasy. Ludzie Otwinowskiego, rzuceni w nowy czas, wspominają dawne miejsca, dawne czasy, nowe miejsca starają się umieścić wśród czasów, jakie przeżyli i z jakimi się oswoili. Występuje u niego oryginalna dialektyka tych zjawisk. Oto przyjaciele powracają do zburzonej Warszawy i nie umieją jej w sobie umiejscowić: „Idą wzdłuż Pragi, mostów, alei — są w najpiękniejszym niegdyś centrum miasta. Trudno ocenić: jest czy też nie ma go, jak utrzymywali wszyscy, wyprzedzający ich powrót. To pewne że niesposób połączyć tych ulic z jakimkolwiek czasem przeszłym. I dlatego nie można znaleźć swego w nim miejsca".

Uczucia związane z tą dialektyczną łącznością miejsca i czasu nawiedzają ludzi Otwinowskiego w okolicznościach bardzo różnych, a zawsze psychologicznie niebanalnych. Zastanówmy się na przykład nad złudzeniem Zbyszka: „Szóstego września pożegnał ich z tym mistycznym przeświadczeniem, że skoro sam wychodzi w przyszłość zupełnie niepewną — to, co zostawia, musi być stałym punktem, do którego, gdy się wróci, spotka się znowu z czasem przeszłym, z wszelkimi jego prawami, z wszelkim jego porządkiem". Kto chce zrozumieć psychologię nieprzejednanych emigrantów, którzy Polskę opuścili we wrześniu 1939 roku, niech kilka razy przeczyta to zdanie.

Tą dialektyką miejsca i czasu obdarzeni są prawie wszyscy ludzie Otwinowskiego. Ale nie tylko wskazaną dialektyką. Głównymi sensami tej książki obdzielone są jej wszystkie postaci w sposób równomierny i niezróżnicowany. Ludzie ci stają się przeto zbyt podobni i za mało wyodrębnieni. Przechodząc przy lekturze od jednej postaci do drugiej z trudem chwytamy nici łączące nowe przeżycia danej postaci z tymi, wśród których pozostawiliśmy ją kilkanaście stronic przedtem. Gubi się niekiedy sam autor. Na początku książki oglądamy śmierć Aleksandra (str. 14), na końcu (str. 108) przyjaciele przyrzekają sobie nawiązać z nim kontakt. Chyba nie spirytystyczny.

Wszystkie postaci są roznosicielami kilku tylko przeżyć. Skutek jest ten, że stawiane przez Otwinowskiego zagadnienia nabierają wprawdzie ostrości, ale postaci tracą swą wyrazistość. Cnota książki przełamuje się w jej wadę. Wadę zasadniczą, bo nadającą utworowi Otwinowskiego antypowieściowy wygląd. Czysta i jasna w intencjach psychologicznych, schludna i wypracowana w ich wyrazie stylistycznym, rzecz Otwinowskiego jest zamącona i powikłana w swej przynależności gatunkowej. Umiejąc odtworzyć sensy „Czasu nieludzkiego", nie umiemy odtworzyć jego ludzi. Są niczym polip o jednym, wspólnym zbiorniku przeżyć i doświadczeń i wielu ustach głoszących tę samą prawdę.

Sprawa czystości gatunków nie jest czymś błahym, ani też nie znaczy, że przykładamy do książki Otwinowskiego miary wobec niej obce. Przeciwnie. Postulat czystości gatunków jest, dla mnie przynajmniej, podstawowym uzupełnieniem postulatu realistycznego. Realizm w temacie, w treści, to żądanie bardzo wielorakie i nie dające się sprowadzić do kilku jasnych wskazówek. Natomiast czystość i precyzja gatunku dają pisarzowi instrument formalny, pozwalający zgłębić rzeczywistość w sposób sprawdzalny również od strony narzędzia formalnego, jakim dany pisarz się posłużył.

Gatunek i precyzja narzędzi mówią zawsze o rodzaju i wartości zdobytego doświadczenia. Więcej — warunkują tę wartość w każdej dziedzinie twórczości. Przybywa gwiazd na niebie w miarę jak przybywa lunet, umiejących je odkryć, i formuł astronomicznych umiejących przewidzieć miejsce niedojrzanych gwiazd. Forma jasna, to znaczy uświadomiona przez pisarza w swoich konsekwencjach, wymaganiach i sprzecznościach, jest tym narzędziem gwarantującym jakość zdobytego doświadczenia. Forma pośrednia, mieszana, hybrydyczna tylko w bardzo rzadkich wypadkach, u wyjątkowych pisarzy staje się zapowiedzią, bulionem, żeby tak rzec, form nowych, czystych i sprecyzowanych. Najczęściej daje tylko świadectwo nierozwikłanych przez pisarza sprzeczności, niedopowiedzianych przez niego konsekwencji, które przy większym wysiłku pisarskim dałyby się zapewne rozwiązać.

„Czas nieludzki", w świetle takich postulatów, budzi sprzeciw, nie zaspokaja. Budzi sprzeciw właśnie ze względu na gatunek użytej przez Otwinowskiego prozy. Gatunek tej prozy prowokuje do wymagań większych od tych, jakie sobie postawił autor. Z tego bowiem, cośmy napisali o tej książce, łatwo wyprowadzić wniosek dotyczący jej wewnętrznej hierarchii. Wniosek, który daje się zamknąć w takich zdaniach: w miarę, jak schodzimy do najprostszych składników prozy, zarówno składników stylu, jak doświadczenia ludzkiego, wartość książki Otwinowskiego rośnie Nie ma w niej partii, ani zdań „puszczonych" stylistycznie. Oględny i oszczędny, poprawny ale indywidualny tok zdania, jakiś schludny i skromny bieg słów Otwinowskiego nigdy nie zawodzi. Także doświadczenie ludzkie tej książki, problemy strachu, dekompozycji człowieka, gest, przewroty miejsc i czasów nie należą do tylko zasłyszanych, czy też rozdmuchanych w jakieś bytowe czy metafizyczne rozmiary. Doświadczenia te utrzymane są w równie oględnej i oszczędnej mierze. Natomiast, w miarę jak od tych składników posuwamy się w górę, ku wyższym szczeblom konstrukcji, ku budowie odrębnych ludzi, między których byłyby te przeżycia podzielone, ku budowie osnowy powieściowej, jaka by otwierała i zamykała doświadczenie książki, kontury się zamazują, konstrukcja zawodzi. Utwór jasny u swoich podstaw, mgli się i zamazuje u wierzchołków.

Dlatego „Czas nieludzki", mimo obiektywnego uznania, jakie budzi swymi składnikami pierwszego typu, pozostawia wrażenie niedosytu. Do czystego narzędzia wielkiej formy Otwinowski jeszcze nie dotarł. Nadzieję, że jednak dotrze, budzi nie tylko szlachetność tych składników, budzi ją również różnica pomiędzy „Czasem nieludzkim" a przedwojennymi jego powieściami („Życie trwa cztery dni" i „Marionetki"). Ambitne w rozwiązaniach ogólnych książki ówczesne grzeszyły przeciwko tym najprostszym obowiązkom prozy, które obecnie Otwinowski opanował w zupełności. Ten pewnik oczywisty, że nie zmarnował on lat, które minęły, pozwala przypuszczać, że podoła również zadaniom, które stawiają przed nim niedostatki jego ostatniej książki.

Kazimierz Wyka

JAN JACEK GINTEL

Pokój Damoklesa

Przeżywamy obecnie pokój, który śmiało można nazwać pokojem Damoklesa. W 15 miesięcy po wojnie nie zdołał świat nie tylko wybrnąć z impasu, w jaki wtrąciła go wojna, ale zapadł się w grząź zagadnień, nie do pomyślenia jeszcze przed kilku miesiącami.

Niemcy, które w ciągu ostatnich sześciu lat spowodowały bezmiar nieszczęść, jakich świat jeszcze nie przeżywał, mają czelność protestować przeciwko uchwałom poczdamskim i wyciągają pięść w stronę Wschodu w momencie, gdy naczelni ich zbrodniarze jeszcze nie ponieśli kary za niezliczone zbrodnie.

Zarzewia niepokojów jarzą się na Bliskim i Dalekim Wschodzie, a konferencja pokojowa strzela co 24 godziny takimi rakietami niespodzianek, że wszystko to wywołuje u zwykłego człowieka uczucie buntu pomieszanego z wściekłością, bo wydaje mu się, że ktoś bruździ tutaj, że komuś zależy chyba na jeszcze większym zawęźleniu spraw i tak dostatecznie zagmatwanych.

Człowiek zwykły chce spokoju i normalizacji stosunków. Tajniki wielkiej polityki są mu nieznane i niezrozumiałe i nie ma on nawet czasu na ich odgadywanie. Mierzy każdego innego człowieka swoją miarą, a każdy inny naród swoimi przysłowiami; zmuszony zaś wskutek obecnych warunków do politykowania zabrnął w taki labirynt, że gotów jest przyjąć każde rozwiązanie, byle tylko dopomogło mu do wypłynięcia na spokojne wody.

Tymczasem — jak twierdzi Sumner Welles, były amerykański podsekretarz stanu — zagadnienie, związane z wynalazkiem bomby atomowej, spowiło świat w tak trujący czad podejrzliwości, strachu i histerii, że wydaje się chwilami, że sczeźniemy raczej, niż zdołamy się przebić przez otaczający nas zewsząd gąszcz. By zaś przypadkiem nie uśpić bodaj na chwilę powszechnej depresji, dzienniki całego świata donoszą nam stale i sumiennie o tajemniczych pociskach widzianych to w Szwecji, to w Norwegii, to wreszcie w Danii czy we Francji, by ostatecznie dobić i tak moralnie pogruchotanego szaraczka.

Trochę odprężenia do tych minorowych nastrojów wniósł prof. Einstein, który — w wypowiedzi, opublikowanej przez „Dziennik Polski", a znanej na szerokim świecie od dobrych kilku miesięcy — podał swoje poglądy na sposób, jaki należałoby zastosować, by wybrnąć z ciemnej uliczki, w której wraz z całym światem tkwimy tak beznadziejnie.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Rosja i Anglia miałyby — wedle wypowiedzi znakomitego uczonego — przekazać sobie wzajemnie wszystkie tajniki bomby atomowej, a następnie stworzyć rząd wszechświatowy, jedynie upoważniony do sprawowania władzy nad ludami świata, oraz do zbrojnej ingerencji, w wypadku, jeśli okaże się potrzeba. Mniejsze narody zostałyby zaproszone do uczestnictwa — nie wiadomo ściśle w jakim charakterze — ale dopiero po ukonstytuowaniu się takiego „nadrządu".

Sumner Welles uważa niestety ten projekt za zupełnie nierealny i niepraktyczny. Wydaje mu się bowiem, że główną i zasadniczą przeszkodą byłoby stanowisko Rosji, która wedle niego mogłaby się zgodzić na wejście w skład podobnego rządu tylko pod warunkiem stworzenia Światowego Związku Sowieckich Republik Socjalistycznych z siedzibą w Moskwie.

Nie wiadomo, na jakich przesłankach opierał Sumner Welles swoje twierdzenie, które wydaje się nam zupełnie dowolne, i dlatego odrzucamy je z miejsca. Niemniej jednak wydaje się nam wysoce wątpliwe, czy taki rząd o charakterze ogólnoświatowym mógłby funkcjonować, jeśliby nie posiadał pełnej kontroli nad zbrojeniami każdego poszczególnego państwa na całej kuli ziemskiej i jeśliby każde państwo nie otwarło mu całkowitego dostępu na swoje terytorium, do swych laboratoriów i zakładów przemysłowych, łącznie z pełnym wglądem w sprawy zagraniczne, wewnętrzne i finansowe.

Dzisiaj tego rodzaju stała kontrola wydaje się nie do przyjęcia, przede wszystkim ze względu na uporczywe obstawania tak Amerykanów jak i Anglików przy systemie wolności indywidualnej, traktowanej przez nich w sposób zgoła specyficzny. Można bowiem być zdecydowanym przeciwnikiem tezy hitlerowskiej: „Człowiek jest niczym, państwo jest wszystkim", ale pomiędzy tą tezą, a jej antytezą w Ameryce zachodzi duża rozpiętość, umożliwiająca odrzucenie tak tezy hitlerowskiej, jak i amerykańskiej, a mimo to nie do przyjęcia przez Amerykanów. Żaden kongres amerykański nie dopuściłby z wszelką pewnością nawet samej myśli o możliwości stosowania tak szeroko pojętej kontroli przez obcych, nawet w wypadku, gdyby ci obcy byli członkami wszechświatowego rządu.

Prof. Einstein uważa, że taki wszechświatowy rząd winien posiadać „ możność interwencji w krajach, w których mniejszość uciska większość i stwarza w ten sposób pewien brak stabilizacji, prowadzący w prostej drodze do wojny".

Dochodzimy do sedna sprawy. Wydaje się bowiem, że jak długo na jednym i tym samym świecie żyje wiele narodów o różnych strukturach gospodarczych i społecznych, tak długo nie ma mowy o stworzeniu rządu wszechświatowego, który miałby rządzić wieloma narodami wedle jednego schematu, To bowiem, co mogłoby być przez jeden naród powitane nawet z entuzjazmem, mogłoby być przez inny naród uważane za nieszczęście.

Jeśli wziąć dosłownie propozycje prof. Einsteina, należałoby rządy rozpocząć od skasowania w pierwszej linii kolonii, a następnie tak zwanych sfer wpływów, bo tam przede wszystkim „mniejszość uciska większość". Jednakże wykonanie tylko tego jednego punktu wymagałoby całkowitej przebudowy gospodarczej świata. Można zaryzykować twierdzenie, że zanim taka przebudowa nastąpiłaby, zostałaby poprzedzona przez rewolucję, wywołaną niewątpliwie nagłym podważeniem wszechświatowego systemu względnej równowagi gospodarczej, obowiązującego obecnie.

Każdy naród ma pewne cechy swoiste. Narastały one setki i tysiące lat i ukształtowały takie a nie inne oblicze poszczególnych narodów. Istnieją pewne grupy narodów podobnych do siebie, ale istnieją również grupy narodów różniących się wzajemnie i to nie tylko zwyczajami i barwą skóry, lecz sposobem myślenia i patrzenia na świat, całą gamą przesądów, wywołujących inną gamę podejrzeń i nieufności, właściwych tylko tym, a nie innym narodom, oraz wreszcie pewnymi ambicjami narodowymi o różnej rozpiętości, będącymi wynikiem zdrowych czy też niezdrowych tradycji, istniejących i stanowiących podstawowy współczynnik charakteru danego narodu.

Nagłe ustanowienie wszechświatowego rządu byłoby niczym innym jak dyktaturą mniejszości nad większością, przedstawiającą się cyfrowo jak 4:20 (ludność Ameryki Północnej, Rosji i Anglii do reszty ludności świata). Dla uniknięcia nieporozumień podkreślić należy fakt, że prof. Einstein wyraźnie zaznacza, że „małe narody powinny być zaproszone do uczestnictwa, lecz „Wielka Trójka" powinna zorganizować rząd wszechświatowy bez względu na to, czy narody te przyłączą się, czy też nie". Innymi słowy przyjmuje się a priori czynnik siły jako decydujący, nawet bez uprzedniego zasięgnięcia opinii narodów małych.

Wielu poważnych myślicieli forsuje zasadę, że międzynarodowe niepokoje znikną w momencie wprasowania małych państw w obręb działania państw wielkich. „The fewer countries we have the fewer wars we shall have (Im mniej krajów tym mniej wojen)". Obawa przed wprowadzeniem w czyn tej tezy mogłaby łatwo powstać u państw małych, skoro chcąc nie chcąc musiałyby wejść w skład organizacji, kierowanej tylko przez 3 państwa Zachodzi więc pytanie, czy małe państwa zgodziłyby się na takie postawienie sprawy i jakie represje zastosowałaby „Wielka Trójka", gdyby się na to nie zgodziły. Tak czy inaczej rozpoczęłoby się od stosowania przymusu, co w obecnym okresie powojennym nie przyczyniłoby się do usunięcia trudności, z jakimi walczą dzisiaj wszyscy, a które właśnie mają na celu wyeliminowanie momentu siły, jako decydującego czynnika w życiu narodów.

Tak wyglądałyby naszkicowane z grubsza ujemne strony apriorycznego narzucenia formy rządzenia światem przez trzy wielkie mocarstwa.

Nieco inaczej pojmuje zagadnienie zabezpieczenia wiecznego pokoju na świecie grono pisarek amerykańskich z Pearl Buck na czele. Zwróciły się one z apelem do wszystkich matek amerykańskich, by podpisały siedmiopunktową petycję, skierowaną do „kongressmenów" i senatorów amerykańskich, w której domagają się „wszczęcia natychmiastowych kroków" celem przekształcenia Organizacji Narodów Zjednoczonych w „Rząd Wszechświatowy".

Tak powstały rząd wydałby prawo obowiązujące cały świat („a world law") a zabraniające komukolwiek — z wyjątkiem samego rządu — posiadania lub wytwarzania sprzętu, mogącego spowodować masową destrukcję oraz posiadania siły zbrojnej. Rząd ten byłby poza tym wyposażony we wszelkie atrybuty zwyczajnego rządu z tą tylko różnicą, że wydawane przezeń prawa rozciągałyby się na cały świat. W kreowaniu tego rządu brałyby udział wszystkie narody całego świata i byłyby one reprezentowane w rządzie.

Odezwa kończy się „solennym przekonaniem", że jeśli nie zostaną podjęte natychmiastowe starania, iżby taki rząd został stworzony, należy się liczyć, że w ciągu kilku lat świat stanie się „nieuchronnie" areną wojen atomowych, które zniszczą cywilizację, a być może nawet przeważającą część ludzkości.

W Organizacji Narodów Zjednoczonych małe narody posiadają przygniatającą przewagę i dlatego w wypadku normalnego głosowania nie dopuszczą do kreowania rządu wszechświatowego złożonego wyłącznie z przedstawicieli wielkich mocarstw. Runie więc w tym wypadku idea prof. Einsteina nie dlatego, by była z gruntu zła, lecz dlatego, że jest tak przedwczesna, jak przedwczesną była idea Paneuropy w ujęciu briandowskim.

Jest truizmem, że świat nie może być traktowany jak pojedynczy zespół celowo dobranych ludzi. Może być natomiast uważany za jedną wielką rodzinę składającą się wprawdzie z gromady dzieci o różnych przekonaniach, lecz dzieci te posiadają rodziców, zdecydowanych do natychmiastowego wkroczenia w wypadkach wyjścia poza ramy dyscypliny, obowiązującej nawet w najmniejszym zespole.

Cała ludzkość wytęża w tej chwili siły, by wynaleźć formułę umożliwiającą powszechne stosowanie dyscypliny światowej. Niestety jednak homo sapiens nie potrafił do tej chwili takiej formuły — zwykłej formułki — wynaleźć. Dlatego jeszcze dzisiaj znajdujemy się pod obuchem pokoju Damoklesa.

Jan Jacek Gintel

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

Notatki angielskie

KSIĄŻKA AMBASADORA HAYESA

Do chwili objęcia placówki dyplomatycznej w Hiszpanii profesor amerykańskiego uniwersytetu, Hayes, nie miał nic wspólnego z polityką ani z dyplomacją, podczas gdy lord Templewood, który jako sir Samuel Hoare był posłem do parlamentu i ministrem, zdobył duże doświadczenie, co pozwoliło mu wyzyskać sukcesy swej polityki w Hiszpanii dla propagandy na terenie Anglii. A że często, zdaniem Hayesa, robił to z niekorzyścią dla ambasady amerykańskiej, Hayes, aby wyjaśnić pewne sprawy, napisał książkę. Chcąc go przelicytować, Templewood napisał także książkę. („Ambassador on Special mission", omówioną w 94 numerze „Odrodzenia"). Obie pozwalają nam przyjrzeć się z bliska zakulisowym tarciom polityki dwu ambasadorów.

Już z pierwszych stronic książki Hayesa dowiadujemy się o burzliwych antyangielskich demonstracjach ulicznych, połączonych z żądaniem Gibraltaru i wybijaniem szyb, w dniu przyjazdu Templewooda do Hiszpanii. Aby silniej uwydatnić nastroje antyangielskie, Hayes opisuje entuzjastyczne przyjęcie, jakie zgotowała mu ludność Madrytu. Dalej czytamy o niezbyt pięknej karcie w karierze politycznej „pana Samuela", o układzie z Lavalem, o częstym używaniu przezeń zwrotu „Anglia i jej sprzymierzeni" zamiast prostej formy „Sprzymierzeni".

Hayes nie uważał przystąpienia Hiszpanii do wojny za sprawę doniosłej wagi. Zważywszy jej słabość, nie miało to w ogóle znaczenia dla przebiegu wojny. Ważne było natomiast niezajęcie przez Niemców Hiszpanii. Był to zdaniem Hayesa „pierwszy fatalny błąd strategii Hitlera". Po upadku Francji Hitler powinien był zmobilizować wszystkie swoje siły przeciw Anglii. Przewaga lotnictwa i łodzi podwodnych pozwalała Niemcom w roku 1940/41 na rozpoczęcie zakrojonej na wielką skalę ofensywy portów francuskich. Dysponując potężną armią zmotoryzowaną Niemcy mogli też bez przeszkód, wbrew życzeniom generała Franco, zająć Hiszpanię i Portugalię. Łatwo by im było wtedy opanować Gibraltar, a z pomocą Włochów i Suez. W ten sposób najbardziej żywotna angielska droga komunikacyjna zostałaby przerwana.

„Z tego, co obecnie wiemy o wylądowaniu w Europie wojsk alianckich, możemy wnioskować, że Niemcy, z wiosną 1941 r., mogli również zaryzykować najazd na Anglię z tym samym wynikiem".

Hayes, podobnie jak Templewood, uważał propagandę i presję ekonomiczną za najskuteczniejszą broń. Znowu powtarza się historia z kauczukiem, zbożem i benzyną, przy czym benzynę nazywa Hayes „asem w angielskich kartach", gdyż Hiszpania była całkowicie uzależniona od dostaw benzyny z Ameryki. Kuszenie zbiedzonego kraju przypominało zabawę chłopca rzucającego wygłodniałemu kotowi szpyrkę uwiązaną na sznurku i cofającego ją w momencie, gdy zaczyna jeść. „Najsmakowitszą szpyrką" były sumy wypłacane Hiszpanii za wolfram i inne artykuły, których Ameryka miała u siebie pod dostatkiem, a importowała je jedynie po to, aby odciąć dostawę Niemcom sprowadzającym rudę wolframową z Hiszpanii. Aby zmniejszyć dostawę wolframu do Niemiec, wystarczyło podbić jego cenę; gdy Niemcy płacili za tonę rudy 20 dolarów, Ameryka dawała 60. Hiszpańscy producenci wysyłali więc wolfram do Ameryki, albo żądali od Niemców kwoty zaoferowanej im przez Amerykę. Niemcy, rozporządzając tylko ściśle ograniczoną ilością waluty hiszpańskiej, otrzymywanej za eksportowane towary, mogli zakupić tylko trzecią część dotychczas sprowadzanej rudy wolframowej; albo, aby nabyć jej więcej, musieli zwiększyć eksport do Hiszpanii, obciążając swój przemysł. Producenci zachęceni stałym podbijaniem ceny zwiększali produkcję i Ameryka musiała sprowadzać coraz więcej wolframu. Ale gra ta trwała do czasu. Gdy Hiszpania uznała projaponski rząd Filipin, Ameryka zażądała wstrzymania dostawy wolframu do Niemiec, grożąc, w razie nie zastosowania się do wysuniętych przez nią żądań, wstrzymaniem wysyłki benzyny do Hiszpanii. Rząd hiszpański bronił się tym, że mógłby to być precedens do zatargu z Niemcami. Wtedy Ameryka użyła najskuteczniej swej broni, a zrobiła to bardzo sprytnie, by nie zrazić sobie ludności hiszpańskiej. Gdy Hiszpania udzieliła Niemcom kredytu na zakupienie rudy wolframowej w największej kopalni tej rudy „Santa Comba", której właściciele zobowiązali się sprzedać całą produkcję Niemcom, Ameryka wstrzymała dostawę benzyny. Aby ustrzec się przed zarzutem, że manewr ten pozostaje w jakimś związku z kopalnią „Santa Comba", Ameryka upozorowała swe posunięcie tym, „że benzyna jest bezcennym materiałem dla sprzymierzonych i nie mogą się jej wyzbywać".

Opracowanie i przeprowadzenie planu benzyna — wolfram, dwulicowe metody dziwią nas, gdy uzmysłowimy sobie postać Hayesa, starego poczciwego profesora. Czytając jego książkę wyczuwamy, że czuje się źle w roli „kombinatora", choć brnie coraz dalej, by wreszcie dyplomatyczną kampanię doprowadzić do końca, choć nie chce się przyznać, że popełnił błąd. Chwilami ma się wrażenie, że głównym motywem były osobiste rozgrywki z Templewoodem.

Historia wolframu zajmuje prawie 1/5 książki; poświęcił jej Hayes najdłuższy rozdział, a i w innych rozdziałach nieraz jeszcze do niej wraca. „Wolfram — pisze Hayes — był naszą zmorą, obsesją, która prześladowała nas we dnie i w nocy". Zdaje się, że ta zmora prześladuje go po dzień dzisiejszy i że ona kazała mu napisać tę książkę.

Ameryka zakupiła łącznie 21 860 ton wolframu, po czym, jak chłopak, który, pociągnąwszy za sznurek ze szpyrką, zostawił zawiedzionego kota ze wspomnieniem smaku tłuszczu, skończyły się dostawy wolframu i benzyny.

* * *

Korespondent angielski donosi z Madrytu, że trzeba się liczyć z ewentualnymi zmianami w rządzie generała Franco, który coraz częściej musi walczyć z trudnościami ekonomicznymi i niechęcią „pewnych sfer wojskowych, przemysłowych i kościelnych, które utwierdziły się w przekonaniu, że Hiszpania byłaby mniej odosobniona, gdyby nie było w rządzie generała Franco".

Wobec niepomyślnej dla siebie passy Franco ma, zdaniem angielskiego korespondenta, dwie drogi do wyboru — albo stawiać „na kartę monarchistyczną", albo w skład rządu wprowadzić ludzi, którzy cieszą się zaufaniem Anglii i którzy mogą uzyskać pożyczkę. Tekę ministra skarbu otrzyma najprawdopodobniej Canceller, wzbogacony na Falandze i benzynie, którego Franco usunął brutalnie właśnie z powodu zbyt gorliwej współpracy z Anglią, a o którego korupcji Templewood pisze zupełnie niedwuznacznie i nielojalnie, zważywszy, że on sam go przekupił, aby go wyzyskać dla celów angielskiej polityki. Powołanie Cancellera wygląda jednak na angielskie sugestie.

Bogusław Kuczyński

KOMUNIKATY

Osoby, które posiadają odpisy zaginionych w czasie wojny sztuk J. Szaniawskiego „Krysia", „Fortepian" i „Lekkoduch", zechcą je udostępnić autorowi. Adres: Jerzy Szaniawski, Kraków, Kanonicza 22.

*

Prosimy uczestników i świadków powstania krakowskiego z 6 listopada 1923 r. o nadsyłanie wspomnień i materiałów historycznych (ulotki, relacje, listy, fotografie, wycinki z prasy) dotyczących przebiegu powstania. Materiały należy nadsyłać na adres: Redakcja „Echo Krakowa", Kraków, Wielopole 1. Po wyzyskaniu zostaną na żądanie zwrócone właścicielowi.

Szkoła krytyków

NIEUJĘTA TWÓRCZOŚĆ

Zatem krytyków i recenzentów brak. A równocześnie nowe książki sypią się w obfitości, której absolutnie nie przewidywaliśmy przed rokiem. Nie sądziłem, że liczne dzieła Krystyna T. Wanda natychmiast w nowej Polsce podejmą tradycję Łuczyńskiej i Marczyńskiego. Że będzie London, ten sam London, co za lat gimnazjalnych, kiedy w Bibliotece Groszowej kosztował 0.95 zł i miał kolorowe okładki Mackiewicza. Kiedyż, ach kiedyż ujrzę „Hrabiego Balsamo" i „Naszyjnik królowej?" Nie dajcie tęsknić, panowie wydawcy, interes pewny. Janie Kotcie! Gdzie setka twoich pierwszych książek? Spieraliście się przed rokiem z Miłoszem, czy dać, czy nie dać, biblię czytelnikowi. Macie sennik egipski do poduszki.

Są i dobre objawy. Wznowiony, chociaż dorywczo, Kraszewski, Sewer, wznowiony Balzac. Ciągle nowi młodzi, średni, dorośli prozaicy. Za tą rosnącą produkcją książkową absolutnie nie nadąża nie tylko krytyka, ale nawet zwykła informacja literacka. O co się trapić? Książki i tak się rozchodzą bez waszego pośrednictwa, mruczy pan od sortymentu. Większość wydawców myśli zapewne tak samo, skoro nie nadsyła redakcjom egzemplarzy recenzyjnych. Właśnie to, że się obchodzą bez pośrednictwa fachowej informacji i krytyki, daje powód do głębokiej troski.

Zważmy sytuację. Ta chaotyczna, nieskoordynowana, iście polska wytwórczość dostaje się do rąk wygłodniałych czytelników, chwytających wszystko, a jednocześnie pozbawionych jakiegokolwiek wyrobienia, pozbawionych kierownictwa, porady — co czytać i czego nie czytać. Powstają najbardziej paradoksalne sytuacje. Zwrócono niedawno najsłuszniej uwagę (K. Koźniewski w „Dziś i Jutro"), że literatura dokumentarna na temat okrucieństw niemieckich spełnia całkowicie odmienną rolę. Służy jako drażniąca sensacja dla młodzieży i jest pożerana jak niektóre zdjęcia „Przekroju". Jeżeli widzieliście zabawę dziesięcioletnich chłopców w łapankę i stawianie pod ścianę dziewczynki z lalką, bo w poduszce lalki była ukryta broń (autentyczne, działo się w Warszawie), nie będziecie takiego ostrzeżenia lekceważyć.

Bez kierunku, bez wskazania, po co sięgać, a co odrzucać, dostaje się książka polska do rąk czytelnika w czasach, kiedy tyle się opowiada na temat planowości w życiu kultury. Czy się przypadkiem nie okłamujemy? Czesze się pisarzom teksty z „niewłaściwych wyrażeń", ale w samym planowaniu odgórnym panuje zdumiewający i karygodny liberalizm. Byleś nie pisał o zegarkach, wydać możesz śmieci literackich, ile zapragniesz. Naturalnie nieobecna krytyka stanowi temu sama nie zaradzi, ale dopiero w tej sytuacji widać, jak ważna społecznie jest jej funkcja. Jeżeli nie opanujemy leżących tutaj odłogiem zadań, wyrobimy sobie dzikiego, znieprawionego czytelnika. Czytelnika, dla którego London będzie Balzakiem, bo czytał ich razem i nikt mu nie powiedział, kto był London, a kto Balzac. Już go wyrabiamy przez nieobecność rzetelnej informacji i obecność wydawnictw w rodzaju „Co tydzień powieść". Sherlock Holmes się kłania.

Szkoła krytyków powróci do tych spraw. Na razie taka propozycja wstępna. J. A. Szczepański („Punkt kontrolny", „Dziennik Polski", 19. IX. 1946 r.) pięknie powiada, że nowe czasopisma mnożą się jak króliki. Proponuję trzepnąć po uszach kilkadziesiąt tych królików albo przynajmniej zahamować ich dalszy rozpłód Powinno się ukazać zarządzenie wstrzymujące powstawanie dalszych pism. Będzie to na pewno zarządzenie, które tym niepowstałym pismom odda usługę. Bo nie powstały dotąd takie czasopisma jak „Nowa Książka" czy „Przewodnik Bibliograficzny", które są potrzebniejsze od dziesiątka nowych „Zrywów Demokratycznych" i „Niedziel Jedności". Pisma, które rejestrowałyby bieżącą produkcję, które były przed wojną i byłyby dzisiaj najkonieczniejszym przewodnikiem, bez którego wszelka informacja literacka — wstępny stopień krytyki — musi zawieść, bez którego wszelka orientacja w dżungli wydawnictw jest próżną nadzieją.

A jeżeli króliki krzykną, że się je morduje: to dla waszego dobra trusie Inaczej minie dziesięć lat, a nikt was nie będzie pamiętał. Chociaż — może to i lepiej?

kjw

MIECZYSŁAW MAŁECKI

Niespodziewana śmierć przerwała życie jednego z czołowych polskich slawistów. Zmarł w pełni sił, nie mogąc zrealizować swych bogatych możliwości. Przeszło 50 prac ogłoszonych w ciągu niewielu lat, jakkolwiek bardzo są bogate w wiedzę i różnorodne, trzeba raczej uważać za zadatek na jeszcze większe i doskonalsze. Już pierwsza, właściwie studencka praca, zwróciła na Małeckiego oczy uczonych, a dalsza przyszłość nie zawiodła pokładanych w nim nadziei. Po drodze naukowej szedł nieprzerwanie od sukcesu do sukcesu, ale równocześnie do coraz szerszych horyzontów.

Rozpoczął od studiów nad gwarami Podhala, w pewien czas potem przyszły dalsze prace o dialektach Spisza, Orawy, Żywieckiego, polskich wysp na Słowaczyźnie, co w sumie było doskonałym przygotowaniem do cennej, choć niezbyt rozmiarami wielkiej książeczki pt. „Język polski na południe od Karpat". W przystępnej, popularnej formie zamknął tam autor sumę naszej wiedzy językowej o pograniczu polsko-słowackim. Koroną jednak tego kręgu zainteresowań jest „Atlas językowy polskiego Podkarpacia"; obmyślany i wydany był wraz z prof. Nitschem, ale trud zebrania materiału wziął na siebie Małecki. Wysiłek wielki, jeśli zważyć, że trzeba było dotrzeć do 40 wsi, wyszukać tam odpowiednich informatorów i każdemu z nich zadać tysiąc pytań, które następnie były podstawą do naukowej obróbki. Była to w wielkim stylu próba przed podjęciem prac nad atlasem gwarowym całej Polski, do czego już z powodu wybuchu wojny nie doszło ku niepowetowanej szkodzie nauki. Jednakże ta próba pozostała jeszcze i dziś, po 12 latach, osamotniona w całej Słowiańszczyźnie.

Drugim kręgiem zainteresowań Mieczysława Małeckiego były gwary serbochorwackie: Krku, Krasu, Czarnogóry a przede wszystkim Istrii. Wyjechawszy jako stypendysta do Jugosławii opanował on jej język niezwykle szybko i tak dobrze, że mógł przystąpić do naukowego badania gwary, co nie jest łatwym przedsięwzięciem. Wyniki oczekiwane przez fachowców z niedowierzaniem zdobyły sobie uznanie takich uczonych, jak Meillet, Vaillant, Beaulieux i Belić. Równocześnie okazał Małecki rzetelny slawofilizm. W Istrii szalał właśnie terror faszystowski, Włosi wyrzucali za granicę natrętnego Polaka, który po kryjomu powracał i doprowadził do końca badania, aby w nich wykazać, jak dalece bezpodstawnie odebrano Jugosławii ten kraj. Po powrocie w publicznym odczycie informował społeczeństwo krakowskie, tumanione propagandą kurierkową, o nie przebierającym w środkach prześladowaniu Słowian we Włoszech. Do sprawy Istrii powrócił Małecki jeszcze raz, przedstawiając w Akademii całą granicę romańsko-jugosłowiańską (ogłoszone w Sprawozdaniach PAU za luty br., z mapą).

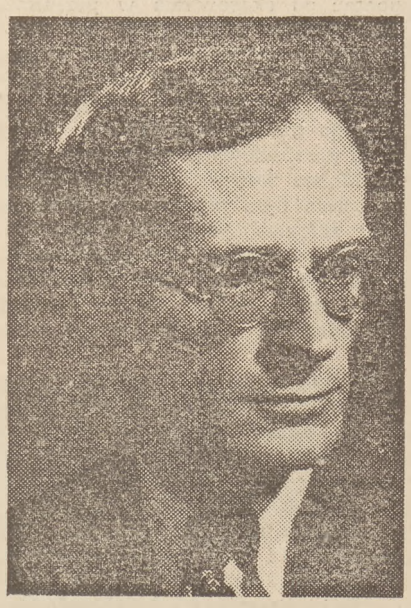

Mieczysław Małecki

Z kolei pociągnęły Małeckiego gwary macedońskie przez swoją podwójną aktualność: polityczną — jako przedmiot zatargów bułgarskich i jugosłowiańskich, i naukową, ponieważ gwary okolic Salonik wymagały wreszcie porządnego zbadania, jako te, które były podstawą języka starocerkiewnego; nimi się bowiem posłużyli apostołowie Słowian, Konstantyn i Metody, tłumacząc dla Słowian Pismo św. Podczas wojny Małecki przygotowywał syntetyczną pracę o pochodzeniu języka starocerkiewnego, zdołał jednak ogłosić tylko oderwane fragmenty. Na użytek zaś studentów, z którymi zawsze umiał żyć w serdecznym kontakcie, napisał podręcznik tego języka, bardzo oryginalnie i pięknie ułożony. Śmierć przerwała jego druk.

Z wiekiem rosła w Małeckim potrzeba syntezy i pogłębienia, toteż coraz częściej pojawiają się prace o szerszych horyzontach: a więc pogląd na mazurzenie na podstawie zjawisk polskich, połabskich, łużyckich i chorwackich, praca o związku językowym bałkańskim, o metodzie badań dialektologicznych, a wreszcie wspomniane, nie ukończone dzieło o pochodzeniu języka starocerkiewnego.

Nie podobna nie wspomnieć o okresie wojennym. Aresztowany wraz z tylu innymi profesorami spędził Małecki w obozach 14 miesięcy. Wyszedł nie złamany, raczej do głębi zawzięty i zdecydowany na walkę, bodaj z gotową myślą o tajnym nauczaniu. Jego zorganizowanie było więc kwestią niewielu miesięcy. Dziś już w zapomnienie poszła ponura atmosfera Krakowa z r. 1941, okresu największej furii niemieckiej i może trudno już niejednemu ocenić odwagę tego kroku. Dziwne fatum zrządziło, że gdy jedni atakowali Małeckiego za kolaboracjonizm, drudzy w tym samym czasie domagali się poskromienia człowieka, który lekkomyślną działalnością prowadzi uniwersytet do ostatecznej zguby. Przyszłość okazała, że przysporzył mu jedynie większej chwały.

Ze zdolnościami naukowymi łączył Małecki wielki talent organizacyjny. Był nieoceniony jako współredaktor „Rocznika Slawistycznego", pisma o światowym znaczeniu, i po wojnie redaktor wydawnictw Studium Słowiańskiego. Samo Studium zorganizował z wojennej rozsypki niezwykle szybko, udostępnił uczniom bibliotekę i czytelnie, podjął śmiałą propagandową akcję słowiańską. Przełamując wielkie trudności zorganizował w jesieni ub. r. kurs słowianoznawstwa dla nauczycieli Krakowa, a ostatnich wakacji takiż kurs dla nauczycieli całej Polski w Polanicy na Dolnym Śląsku. Bez wątpienia wszystkie te wysiłki podkopały jego organizm, tak że nie przetrzymał już ciężkiej operacji. Również opłakane warunki materialne, zmuszając go do rujnującej pracy zarobkowej, przygotowały chorobie podatny grunt.

I jeszcze jedno trzeba podkreślić: dobrą wolę i ciągłą troskę o dobro sprawy z pominięciem wszelkich względów prestiżowych. Obie te cechy charakteru były podstawowym warunkiem jego osiągnięć organizacyjnych. Nic też dziwnego, że jego śmierć wstrząsnęła wszystkimi, którzy go znali i z nim współpracowali, i tyle się po nim spodziewali dla dobra polskiej kultury.

Straty, którą w osobie Mieczysława Małeckiego poniosła nauka polska, a zwłaszcza Uniwersytet Jagielloński, nie podobna będzie zastąpić.

Stanisław Urbańczyk

KRONIKA ANGIELSKA

„The Times Literary Supplement" z ostatniego tygodnia sierpnia przynosi recenzje z około dwudziestu książek, zaś w spisie nowowydanych dzieł notuje aż 63 pozycje. Z tego 6 zajmują powieści, po pięć książek z dziedziny sztuki i teologii, po cztery z dziedziny polityki, wojny i spraw ogólnoświatowych. Najniższą pozycję, to znaczy po jednym egzemplarzu, reprezentują działy: architektury, inżynierii, prawa i mitologii.

•

Czołowy artykuł „Plato indicted" („Platon oskarżony") nawiązuje do książki Poppera „The open society and its enemies". Zarzuca się Popperowi, że zbyt ciasno pojął Platona, krytykował bowiem greckiego filozofa ze stanowiska logiki XX wieku. Pomawiał go o pseudonaukową terminologię. Nie doceniał jego szczerej postawy badawczej, operującej możliwie najlepszą na owe czasy metodą, metodą pytań sokratyckich. Poppera oburza to, że Plato był artystą w formie swych dzieł, a totalistą w poglądach, gdyż projektował w swej idealnej rzeczpospolitej „bezlitosną kontrolę władz nad jednostką... izolację obywateli od świata poza granicami państwa... stworzenie człowieka z raz na zawsze określonymi reakcjami... system policyjnej władzy". Potępiając totalizm, Popper potępia jednocześnie wszelki przymus, a bez przymusu nie może istnieć ustrój społeczno-państwowy. Mówiąc o dobrowolnym zrzeszaniu się i dobrowolnej organizacji, jest Popper utopistą bardziej poetyzującym niż oskarżony Plato. Plato był co prawda pochodzenia arystokratycznego i widział idealny ustrój oczyma oligarchy, ale miał niewątpliwie słuszność kreśląc w swej utopii obraz państwa urzadzanego podług z góry ustalonych zasad rozumu. Rozum ludzki bowiem może urzeczywistnić sprawiedliwość.

•

Szekspir jest wciąż aktualny. Profesor John Dover Wilson, jeden z najlepszych szekspirologów w świecie, znany jako interpretator „Hamleta", wydał w nowym opracowaniu obie części „Henryka IV".

W związku z ukazaniem się tej książki recenzent przypomina, że „Henryk IV" długo zjawiał się na scenie bez części drugiej (wiek XVII w teatrze Bettertona). Dopiero w epoce romantycznej, w Zurichu, (r. 1838) Beddoes — również poeta — wystawił sztukę w całości.

Dover Wilson uważa, że obie części można traktować jako oddzielne, kolejno po sobie następujące całości. Przytacza jednak również aforyzm dr Johnsona: „Czytelnik zdaje sobie sprawę, że są to dwie sztuki a nie jedna tylko dlatego, że są zbyt długie, by stanowić jedną". Wykazuje on na podstawie tekstów, że główną myślą utworu są dzieje księcia Henryka (później Henryk V), który przebywając w wesołej kompanii Falstaffa bawi się sobą i otoczeniem, a w końcu odtrąca Jasia-Pasibrzucha i okazuje szczerą skruchę. Dokładna, niemal scholastyczna analiza poszczególnych słów, ich znaczenia i tego nawet, co się za ich znaczeniem kryje, nie wykluczyła jednak odmiennej interpretacji. Janet Spens, również szekspirolog, odpowiedział Dover Wilsonowi w tym samym tygodniku, uzasadniając tekstem, że popełnił on trzykrotnie pomyłkę. O jednym wierszu (108), który zawiera hieroglificzne słowo „rivo" Spens rozprawiał przez pół szpalty. Wiemy, że można i dłużej, lecz jest to dowodem, że Szekspir jest nie mniej dla Anglików interesujący niż Shaw i równie tajemniczy jak egipskie groby.

•

G. H. Healey odkrył nową puściznę Daniela Defoe, autora „Robinsona Crusoe". W Huntington Library znalazł on 7 „Medytacyj" pisanych prozą i cykl wierszy o nastroju religijnym. Autentyczność tych dokumentów stwierdzono na podstawie danych biograficznych, weryfikując ponadto charakter manuskryptu. Rękopisy te oddał Defoe niejakiemu Duncanowi, a ten z kolei przekazał je Huntingtonowi.

Okazało się przy bliższej egzegezie, że „Medytacje" są kopią kazań wygłoszonych przez duchownego kongregacjonalistę, John Collinsa. Kopią jednak tak niedokładną, że uznano za słuszną hipotezę, iż na zlecenie swego pastora młody naówczas, bo 21-letni Daniel stenografował kazania. „Medytacje" są pisane stylem pindaryckim, z patosem właściwym pierwszym utworom Defoe'a. Prawdopodobnie, jak wskazują wiersze z tego okresu, Defoe był bardzo poważnym młodzieńcem, gorliwie się modlił i pod wpływem Bunyana religię brał bardzo serio. Odnalezione listy są bez znaczenia jako pozycja literacka ich autora, stanowią natomiast nowe, cenne źródło biograficzne.

•

Anglia z łezką w oku żali się na brak książek w Niemczech. Spodziewa się, że Niemcy staliby się uduchowionymi „Kulturmenschami", gdyby im dano w ręce dobre, angielskie humanistyczne dzieła. (Symboliczna wiara Anglików, że purytanin jest cnotliwy, ponieważ trzyma biblię w ręku). W strefie anglosaskiej ośrodkami literacko-dziennikarskimi są: Heilberg, Freiburg, Stuttgart i Wiesbaden. Wydaje się tam periodyki „Die Wandlung", „Die Gegenwart" i „Der Standpunkt". Współpracują: z pierwszym prof. Jaspers, z drugim — socjolog Alfred Weber i wielu publicystów dawnej przedgoebbelsowskiej „Frankfurter Zeitung" Brak papieru nie pozwala na rozszerzenie rynku wydawniczego, choć głód książek jest olbrzymi. W strefie sowieckiej papieru jest dosyć. Wychodzi tam pismo „Die Aufbau" prowadzone przez Johana Bechera. Johan Becher i jego współpracownicy spędzili lata wygnania w Moskwie. Wróciwszy do ojczyzny założyli „Kulturbund zur demokratischen Erneuerung Deutschlands" z programem radykalnie socjalistycznym.

W działalności literacko-wychowawczej wspomagają ich H. Mann, B. Kellermann i H. Fallada.

Stare firmy wydawnicze (Reklam, Brockhaus, Dieterich) przeniosły się z Lipska do Wiesbadenu i tam rozwijają działalność wydawniczą. Są nadzieje na prosperity, gdyż zamiast 20 księgarń przedwojennych jest już obecnie 140 kramików z książkami. W Monachium wychodzą odezwy Ernsta Wiecherta, proroka nowej Germanii. Nawołuje on Niemców do pracy nad sobą, do przemiany wewnętrznej, zaś całą Europę do położenia kresu wojnom. Erich Kaestner wydaje pismo dla dzieci „Pinguin" i dumny jest z tego, jak wielu innych jego kolegów, że przetrwał w swej ojczyźnie régime hitlerowski nie odwiedziwszy obozu koncentracyjnego.

Anglicy oczekują w niedługim czasie rozkwitu kulturalnego w Niemczech. Wierzą, że słowo niemieckie, pokonawszy trudności techniczne, stanie w jednym rzędzie ze słowem angielskim i francuskim.

stm

H. G. WELLS

Jest rzeczą znamienną, że zainteresowanie twórczością H. G. Wellsa poczyna się u nas budzić dopiero po jego zgonie.

Coraz liczniej pojawiające się w prasie polskiej artykuły poświęcone Wellsowi są zaledwie wstępem do właściwego zajęcia się jednym z najświetniejszych autorów naszego wieku. O podjęcie systematycznej pracy nad udostępnieniem jego twórczości czytelnikowi polskiemu nawołuje słusznie Kazimierz Nowowiejski w szkicu „Wells o Polsce", „Życie Literackie", nr 16 (z treści wynika, że chodzi w niej raczej o Wellsa w Polsce).

H. G. Wells, powszechnie znany na całym świecie, w Polsce doczekał się tłumaczeń (wyłącznie J. Sujkowskiej — nb. w stylu wcale nie wellsowskim) kilku zaledwie dzieł i to bynajmniej nie najlepszych, podczas gdy Shaw, Russel, Conrad a nawet dużo młodszy Huxley są u nas dobrze znani i rozpowszechnieni. Co więcej, Wells znany jest w Polsce bardziej jako... pisarz młodzieżowy. W powieściach takich jak np. „Pierwsi ludzie na księżycu" czy „Człowiek Niewidzialny" podziwia się bardziej samą ich fabułę niż problematykę. Przed wojną jedynie „Wiadomości Literackie" (A. Słonimski, B. Winawer) interesowały się genialnym powieściopisarzem. Poza tym nie doczekał się u nas Wells jakichś bardziej gruntownych omówień czy analiz. Z 70 tomów dzieł Wellsa przełożono 20 — z tego większość niechlujnie. Dzieła jego przełożone przez ludzi do tego powołanych wymagałyby przedmów, które wprowadziłyby niedoświadczonego czytelnika w świat subtelnych aluzyj pisarza.

K. Nowowiejski zwraca uwagę również i na to, że Wells nie został należycie oceniony przez polskich anglistów. Czołowi nasi angliści nie doceniali go, a nawet uważali za grafomana (Tarnawski). W końcu Nowowiejski podaje ciekawą ewolucję myśli wellsowskiej w poszczególnych dziełach i zachęca do... odkrycia jej.

Uwagi K. Nowowiejskiego są słuszne i na czasie. Znajdą na pewno żywy oddźwięk wśród naszych anglistów i literatów.

tk

JESZCZE O WELLSIE

Prasa zagraniczna, zwłaszcza angielska, wiele szpalt poświęca zmarłemu niedawno Wellsowi, jego życiu i twórczości.

Wśród wspomnień o pisarzu spotykamy wiele jego myśli i wypowiedzeń świadczących o dużym poczuciu humoru i błyskotliwości jego dowcipu. Niektóre z nich są bardzo na czasie, w związku z odbywającą się obecnie konferencją pokojową.

W r. 1916 Wells oświadczył: (i podobno jego słowa podobały się Fochowi):

— Wojnę wygrywa nie zawsze ten, kto jest silniejszy, ale pokój przegrywa najczęściej ten, kto jest słabszy.

Gdy na kilka tygodni przed słynnym spotkaniem w Monachium krytykowano w obecności Wellsa Anglię za to, że nie chciała przystąpić do wojny, Wells uznał tę decyzję za słuszną:

— Nie chodzi o to, żeby się bić, ważne jest, aby pobić przeciwnika.

Wells był zwolennikiem pokoju wspaniałomyślnego, ale stanowczego:

— Nie ma pokoju bez zwyciężonych, ale nie można go utrzymać bez zwycięzców.

Ktoś z przyjaciół, sympatyzujący z Niemcami, starał się go przekonać, że Hitler nie jest znowu aż tak niebezpieczny. Było to w 1938 r., na krótko przed wypadkami w Czechosłowacji.

— Moim zdaniem jest to raczej marzyciel, fantasta, niż człowiek czynu — tłumaczył pisarzowi.

— Możliwe, — powiedział nieprzekonany Wells — obawiam się jednak, że ten marzyciel miewa często niespokojne sny.

Gdy badania uczonych nad rozbiciem atomu dały pozytywne wyniki, Wells przejął się tym szczerze.

— Grozi nam drugi potop, — powiedział — ale tym razem nie potrafimy już zbudować arki.

Ciekawe, że ten człowiek o tak bujnej wyobraźni, którego najbardziej udałe książki były niemalże prorocze, nie uznawał powieści. Do dwudziestego roku życia czytywał tylko dzieła z zakresu biologii, fizyki i chemii.

— Po cóż czytać o rzeczach niepraw-dziwych? To tak, jakby się płaciło czynsz za dom, który się widziało kiedyś w marzeniach.

mst

PRZYCIĄĆ PAZURY

P. Fawet Jasienica przywdział płaszcz katolickiego pisarza i przybrał pozę niewinnego publicysty, który, jakby po raz pierwszy, rozgląda się po otaczającym go świecie i kształtuje swoje poglądy. Noworodek publicystyki katolickiej z zawrotną szybkością dochodzi do rozumu.

Nabierając sił, p. Jasienica objawia coraz więcej tupetu i arogancji. Kwalifikuje, klasyfikuje, przygania. Łaskawie chwali, ironizuje, — słowem cudowny osesek urasta do roli arbitra i mentora.

Ale tego jeszcze mało.

Ośmielony harcownik, którego „myśli" puszczano dotąd mimo uszu, poprowadził atak frontalny. Niby na literaturę i publicystykę lewicową, a w istocie na same podstawy lewicy polskiej. Co prawda, p. Jasienica ma za krótkie ręce i niezbyt dużo zasobów intelektualnych, by jego atak groził czymkolwiek postępowemu intelektualizmowi, ale znamienne są jego zamiary i fakt, że jego mocodawcy uznali moment obecny za stosowny do ich wyjawienia.

W „Tygodniku Warszawskim" (nr 36) ukazał się artykuł p. Jasienicy zatytułowany szumnie „Zmierzch legendy". Jego treść da się ująć krótko:

Intelektualna supremacja lewicy w Polsce jest mocno przeceniona a właściwie nawet fikcyjna, toteż mit o jej wyższości zaczyna blednąć. Sam rodowód polskiego obozu radykalnego — ujawniony przez bystrookiego Jasienicę — zdradza brak oryginalności i słabość lewicowego nurtu. Albowiem program zmian społecznych ma w Polsce lepszych i dawniejszych antenatów niż Karol Marx („należy pamiętać, że pomysły reformatorskie sięgają u nas XVI-go wieku" i... zamiast terminu „myśl radykalna", lepiej mówić... „myśl polska").

To pierwsze. A po wtóre, to kwestia odzyskania ziem zachodnich i współpracy z Rosją. P. Jasienica pisze protekcjonalnie: „Zgadzam się, że jednym z najważniejszych zagadnień w polityce zewnętrznej Polski jest konieczność pokojowego uregulowania stosunków z Rosją", ale — autorem tezy o odzyskaniu obszarów na Zachodzie i współpracy z Rosją jest przecież Roman Dmowski, bynajmniej nie antenat polskiej lewicy.

Więc sprawa jest jasna. Nieuzasadniony mit trzeba odrzucić, a „spłyconą", „szablonową" i „skostniałą" myśl marksistowską w Polsce osadzić na właściwym miejscu. Z mizernymi intelektualistami z lewicy nie ma co i nie ma o czym rozprawiać.

Dochodzi jeszcze do tego odrobina „empiryzmu". „Czas upływa, rozporządzamy już faktami pozwalającymi porównywać rzeczywistość z głoszonymi teoriami. Ulubiony postulat empirycznej sprawdzalności zwraca się przeciwko jego stałym użytkownikom, czyli przeciw lewicy".

Tak rzecze p. Jasienica, w wysokopiennym stylu kryjąc pospolitszą o wiele treść, mniej więcej taką:

— „Wasze rządy dwuletnie dowiodły czym jesteście; wasza reforma rolna, upaństwowienie przemysłu, polityka pieniężna, ceny, płace, itd. ilustrują wartość waszej teorii. Dość tego! Idźcie sobie do diabła, na złamany kark!"

Ale to już nie rozmowa z intelektualistami. Cóż, p. Jasienicę uniosła namiętność i dawny pogląd, „poddany wielkiej próbie", a wykładany poprzednio w „Prosto z Mostu" i „Falandze", arcypolski program porachowania się z polską lewicą znów wychodzi na światło dzienne. Spadła komża z potulnego pisarza tygodnika katolickiego. Owca zapomniała o przebraniu i z baraniego runa wyszczerzył zęby faszystowski wilk.

Jedno tylko budzi w nim jeszcze niejaki respekt: „Nie chcę jednak obrażać Marxa". Mógłby, ale nie chce. I bardzo, bardzo dobrze wyraża się o Józefie Stalinie.

Filut z pana, panie Jasienica! Sztukę manewrowania, od pseudo-intelektualistycznych roztrząsań aż po polityczną prowokację, zna pan wcale dobrze. Łatwiejsze to niż poważna dyskusja. Lepiej jednak te „cnoty" w sobie powściągać.

Dużo lepiej!

ABRAKADABRA

W numerze 8—9 „Nauki i Sztuki" jest artykuł Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego zatytułowany: „Zagadnienie moralności autoteliczne j." Treść całkiem metafizyczna.

Oto próbka:

Stwórca stwarza siebie i wszelką istotę w ten sposób, że wnętrznie autoŻsamia autogenię pomysłu z jego autoterią" (str. 354).

I to wydaje się za pieniądze państwowe. js

Luźne uwagi o jednym i tym samym

1.

Przeglądam ostatni, sierpniowy zeszyt „The Times Literary Supplement". Na trzeciej stronie wielkie sprawozdanie z nowej książki Karola Loewensteina „Political Reconstruction". Karl Loewenstein był przed Hitlerem jednym z najgodniejszych uwagi niemieckich teoretyków prawa konstytucyjnego. Jego prace o socjologii wczesnego parlamentaryzmu angielskiego były ciekawym przykładem naukowej analizy, będącej pod dużym wpływem marksizmu. Obszerne dzieło o „Ludzie i parlamencie w pierwszym okresie Wielkiej Rewolucji" dało wiele nowego materiału dotyczącego genezy demokracji bezpośredniej. On pierwszy wyróżnił „typy" zmian konstytucji. Dziś wykłada w Amherst College.

Na stronie szóstej znów recenzja z pracy Charlotty Luttkens „Women and a New Society". Charlotta Luttkens wydała przed wojną socjologię polityczną Stanów Zjednoczonych („Staat und Gesellschaft in America"). Dziś jest ona jedną z najruchliwszych działaczek ruchu kobiecego w Anglii.

Na stronie dwunastej obszerne streszczenie książki Hannsa Sachsa, ostatniego z żyjących najbliższych współpracowników Freuda („Freud, Master and Friend").

Na ostatniej wreszcie — dwie książki Niemców: Hermanna Mannheima „Criminal Justice and Social Reconstruction" i Arnolda Brechta „Federalism and Regionalism in Germany".

Stwierdzenie: Niemieccy uczeni piszą wiele po angielsku o zagadnieniach niemieckich, ale przede wszystkim o zagadnieniach ogólnych. Głos niemieckich emigrantów stanowi osobny i poważny akcent w anglosaskiej dyskusji o nowej demokracji i o podstawach przebudowy socjalnej. Wpływ niemieckich uczonych na społeczeństwa anglosaskie musi być znaczny, skoro są drukowani, omawiani i czytani.

Pytanie: Co robią polscy uczeni demokratyczni w społeczeństwach anglosaskich? W czasie wojny wydano antologię myśli demokratycznej w Polsce, Kalicki i Lange współpracowali z lewicą Labour Party nad projektami przebudowy ustroju gospodarczego. Dziś nie znajduję w angielskim przeglądzie książek ani jednego dzieła Polaka, ani jednej książki o polskich zagadnieniach. Czyżby zabierali głos tylko przeciwnicy obecnych stosunków w Polsce? Czyż by nasz wojenny kontakt ze światem zachodnim ograniczał się do dobrych stosunków z prawicą angielską? Czyżby wielki wysiłek „Nowej Polski" londyńskiej, aby zbliżyć nas do współczesnej postępowej myśli anglosaskiej, nie dał żadnych wyników?

2.

Jeden z członków rządu Trumana wygłosił mowę wyraźnie proniemiecką i antyradziecką. Drugi członek tego samego rządu wygłosił mowę proradziecką i choćby przez swe przemilczenie antyniemiecką. Mowa pierwszego była ponadto wyraźnie antypolska.

Stwierdzenie: W Anglii i Stanach Zjednoczonych istnieje znaczna ilość Polaków, którzy są zdecydowanymi przeciwnikami obecnego rządu polskiego, twierdząc, że są lepszymi patriotami niż ten rząd.

Pytanie: Dlaczego ci ludzie milczą? Czy uważają, że ważniejsze są antyradzieckie wywody Byrnesa niż jego wywody antypolskie? Czy zapominają o tym, że granice, siła i sytuacja narodu w świecie to są rzeczy trwałe? I czy wolą poświęcić rzeczy trwałe, jeśli to może, ich zdaniem, przyczynić się do osłabienia dzisiaj rządzących?

3.

Edgar Morin ogłosił w Paryżu świetną książkę „L'an zéro de l'Allemagne". Omawia w niej obiektywnie, jasno i dokumentarnie obecną sytuację Niemiec. Mówiąc o wysiedleniach Niemców z Polski, stwierdza: „wysiedlenie mniejszości niemieckich, to w obecnych warunkach jedyny sposób dla narodów wschodu usunięcia niebezpieczeństwa piątej kolumny niemieckiej na wypadek odrodzenia się agresywnej Rzeszy. To jedyny sposób, by wschodnie granice Niemiec uczynić granicami trwałymi i niewątpliwymi, przez nikogo nie kwestionowanymi. To jedyny sposób uniknięcia tego, by okolice te były terenem, na którym rodzą się nienawiści rasowe. To jedyny sposób, by uniknąć poronionych rozwiązań, które przygotowywałyby nowe Monachium". Morin dodaje: „Ci, co w imię ludzkości domagają się, by Niemcy zachowały swe przedwojenne granice na wschodzie, oddają złą przysługę ludzkości. Nie ma przyszłości dla rodzaju ludzkiego, jeśli siła agresywna Niemiec zachowa swe korzenie".

Stwierdzenie: Jest na Zachodzie wielki naród, który w sprawie granic niemieckich zajmuje stanowisko podobne do naszego. Francuzi rozumieją tak samo jak my, że „wychowanie" Niemiec, bez zmian terytorialnych ich państwa, nie zabezpieczy pokoju.

Pytanie: Dlaczego w naszych księgarniach pełno książek i pism angielskich, a tak trudno o książkę czy pismo francuskie? Dlaczego tym spośród nas, którzy nie pozbyli się jeszcze kompleksu antysowieckiego, nie mówi się, że istnieje na Zachodzie wielki naród, bliski nam cywilizacją i kulturą, naród, który zrozumiał, że nie ma bezpieczeństwa przed agresją niemiecką bez silnego Związku Radzieckiego i jego udziału w załatwianiu spraw europejskich.

4.

Konkluzja: Polacy za dużo myślą o tym, co zrobi Stalin, Bevin czy Truman, a zapominają o tym, co robił Hitler. Polacy ciągle jeszcze za dużo myślą o tym, kto będzie ministrem, a za mało myślą, co będzie z Polską.

Konstanty Grzybowski

Wśród książek

NIEMCY NA ZAMOJSZCZYŹNIE

Wydawnictwo materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939—1944, pod redakcją dr. **Zygmunta Klukowskiego.** Tom III. Niemcy i Zamojszczyzna 1939—1944; str. 183 i 1 nlb.

Nowy tom notowanego już przez nas wydawnictwa przynosi kilka wspomnień z obozów i więzień w Zamościu i Biłgoraju, głównie jednak poświęcony jest opisom odwetowych napadów na wsie zasiedlane przez okupanta w miejsce rugowanej ludności polskiej. Końcowe ustępy książki przynoszą luźne wspomnienia szeregowych partyzantów, którzy przeżyli akcję pacyfikacyjną, przeprowadzoną przez Niemców z wielkim nakładem sił latem 1944 roku w lasach biłgorajskich nad rzeką Sopotem.

Treściowo materiał trzeciego tomu wydawnictwa zamojskiego jest znacznie uboższy niż dwu poprzednich. Na domiar przejawia się u ich redaktora zbytnia i zbyteczna skłonność do wysuwania własnej osoby, wspomnianej w tekście aż 6 razy, nie licząc wstępu, gdzie przytoczono pochlebny głos recenzenta w lubelskim „Zdroju".

Utrzymanie publikacji na poziomie wymaga zawrócenia z tej drogi. Należałoby też rozszerzyć tematykę na sprawy gospodarcze, które miały bardzo charakterystyczny przebieg na Zamojszczyźnie, przeznaczonej przez Niemców na teren etapowy w pochodzie kolonizacyjnym na Ukrainę.

Wacław Jastrzębowski, autor pracy pt. „Gospodarka niemiecka w Polsce 1939—1944", podaje, że w podjętej na tych terenach województwa lubelskiego w końcu 1942 roku akcji masowego osadnictwa niemieckiego wysiedlono od razu około 100.000 mieszkańców i zajęto ponad 12.000 gospodarstw w powiatach zamojskim, lubelskim, krasnystawskim i hrubieszowskim. Szczegółowe badania w tej sprawie i zebranie materiału przyniosłyby wielki pożytek; powinno to być zadaniem ambitnego regionalnego wydawnictwa.

Jego redaktor planuje ogłoszenie „Księgi poległych" i „Czarnej księgi" Zamojszczyzny „z nazwiskami szpiclów i konfidentów niemieckich, dobrowolnych odszczepieńców Volksdeutschów itp."

Więc starczy nazwisk na całą księgę?

TAJNY UNIWERSYTET

Dr Władysław Kowalenko, docent Uniwersytetu Poznańskiego. Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich w latach 1940—1944. Poznań, 1946; str. 94 i 2 nlb.

Kronikarz tajnego uniwersytetu odtwarza jego historię, mimo że materiały zostały zniszczone. Autor korzysta z pracy prof. T. Konopińskiego pt. „Powstanie, rozwój i stan obecny kursów uniwersyteckich w Kielcach 1945" i rękopisu docenta Z. Stolzmanna o „Sekcji częstochowskiej Wydziału Lekarskiego UZZ roku 1943/44".

Uniwersytet Ziem Zachodnich powstał w Warszawie, w październiku 1940 roku, a inauguracja pierwszego roku akademickiego odbyła się 24 listopada. Pierwszym jego rektorem był prof. L. Bykowski, w trzecim roku pracy prof. R. Pollak.

Zorganizowano wydziały: humanistyczny, farmaceutyczny, lekarski, prawny, ekonomiczny, zaczątek matematyczno-przyrodniczego i — pojęty jako wyższe studium ekonomiczno-morskie — Instytut Morski (dziś Wyższa Szkoła Handlu Morskiego w Gdyni). Nadto prowincjonalne kursy uniwersyteckie były w Kielcach i Jędrzejowie, Czestochowie i Milanówku. Po powstaniu warszawskim głównym ogniskiem był Kraków.

W końcu ostatniego roku akademickiego (1943/44) wszechnica liczyła 251 wykładowców i 2237 słuchaczy. Największą frekwencją cieszyły się wydziały: lekarski (610 słuchaczy) i prawny (550), potem farmacja, a na czwartym dopiero miejscu humanistyka, chociaż komplety historyków i polonistów powstały najwcześniej.

Straty w gronie profesorów wynoszą 25 osób, lista strat młodzieży przekracza 60. Na wydziałach farmaceutycznym i prawnym po kilkudziesięciu studentów zakończyło studia egzaminem, po kilkunastu studia filozoficzne i pedagogiczne. Było kilka egzaminów magisterskich, doktoratów, a także habilitacyj.

Sfera rekrutacyjna studentów ograniczała się do środowiska mieszczańskiego i ziemiańskiego. Przeważał element zamożny, niezamożni korzystali ze stypendiów. Na tym tle powstał zarzut o „uprzywilejowaniu garstki słuchaczy wobec tych, którzy nie mogą korzystać z wykładów".

Poza aresztowaniem kompletu studentów socjologii, którzy wraz z profesorem zostali rozstrzelani, większych „wsyp" nie było, chociaż konspirująca młodzież nie grzeszyła nadmiarem ostrożności i uprawiała szkodliwą paplaninę. Tak np. w Częstochowie wszyscy, nie wyłączając Volksdeutschów, wiedzieli o istnieniu kursów.

Przyjęci składali przysięgę, która kończyła się słowami: „Tak mi dopomóż Bóg i niewinna Syna Jego męka". W werbowaniu profesorów tylko w jednym wypadku natrafiono na niechęć naruszenia lojalności wobec okupanta, a tylko raz jest mowa o studentce podejrzanej o działalność prowokatorską.

Kronika dr. Kowalenki ma bardzo istotne znaczenie dla poznania dziejów tajnej szkoły i nauki w latach okupacji. Opracowań temu poświęconych powinno być więcej, w tym również takich, które opiszą pracę oświatowo-naukową w obozach jenieckich. **Józef Sieradzki**

Już ukazał się

100-ny numer

»TRYBUNY WOLNOŚCI«

W nowej szacie, o zwiększonej objętości i bogatej treści

W numerze:

Wł. Gomułka — Marian Buczek — patriota i rewolucjonista. S. Tarnowski — Istota sporów. W. Lewikowski — O odpowiedni styl życia. J. Kofman — Wnioski Komisji Płac. L. L. — Ludowa, demokratyczna praworządność. M. Turlejska — W podziemnej drukarni. Na łamach prasy. Z życia Partii. Setny numer „Trybuny Wolności". Na widowni międzynarodowej. Ruch robotniczy za granicą. Wśród książek. Pytania i odpowiedzi. Wolna trybuna. Kalendarz wydarzeń. Nowe wydawnictwa.

261

POŻYTECZNA ANTOLOGIA

Biblioteka „Wici". Nr 5. **Piotr Greniuk.** W naszej świetlicy. Recytacje i inscenizacje. Łódź, 1945; str. 111 i 1 nl.

Nagłe przestawienie współczesnego życia na tory powojennych reform spowodowało zrozumiałe zjawisko: przerost programów, postulatów i teorii w stosunku do praktycznych osiągnięć, które powoli wypełniają zarysowane ramy. Da się to zaobserwować zwłaszcza w dziedzinie oświaty i kultury. Zreformowany program nauczania domaga się konkretyzacji w formie metodycznych wskazówek, nowych podręczników i dostępności zaleconych lektur: teatrowi szkolnemu i świetlicowemu, któremu przyznaje się tak wielką rolę wychowawczą — brak odpowiednich sztuk; zarządza się obchody i uroczystości, lecz nie ma popularnych wydawnictw, które kierownikowi placówki naukowo-wychowawczej czy społecznej ułatwiłyby wybór materiału. Na każdym niemal nauczycielu, na każdym pracowniku oświatowym ciąży dzisiaj obowiązek pionierskiej pracy twórczej w ogólnie nakreślonych ramach ideowych. By wygłosić pogadankę lub wybrać odpowiedni wiersz, winien on nie tylko znać historię i literaturę, lecz niejednokrotnie musi sam klecić częstochowskie rymy, gdy nie może znaleźć materiału nadającego się na „Święto oświaty" lub „Dzień Żołnierza". Nie każdy umie tym wymaganiom sprostać, toteż poziom obchodów jest na ogół bardzo niski. W wielu wypadkach bezkrytyczni organizatorzy sięgają do przestarzałych, bezwartościowych pozycji, jakich pełno w prowincjonalnych bibliotekach (np. w repertuarze teatru amatorskiego niejednokrotnie dziś wznawiany „Błażek opętany" Anczyca z racji tematyki ludowej, ujętej jednak w sposób aspołeczny i niesmaczny).

Dlatego też z wielką radością należy witać prace których celem jest udzielenie wskazówek i pomocy pracownikom kulturalnym, zabłąkanym w chaosie trudnych zadań, jakie stawia przed nimi chwila dzisiejsza. Taką pomoc stanowi niewątpliwie zbiorek Piotra Greniuka „W naszej świetlicy", mała antologia wierszy odpowiednich do wygłoszenia z okazji różnych uroczystości. W obecnej chwili nie jest to już jedyne wydawnictwo tego typu, bowiem w tym roku ukazały się „Wskazówki i materiały dla świetlic szkolnych" M. Kowalczykowej (Z. N. P., Katowice) oraz zbiorki wierszy gwiazdkowych i patriotycznych (Greniuk i Mikuta: „Hej kolęda, kolęda", Mikuta: „Z gruzów powstała"), lecz jak dotąd „W naszej świetlicy", choć wydane niepozornie i na lichym papierze — jest jedynym zbiorkiem, w którym autor usiłuje objąć całość powojennego życia.

Autor ugrupował wiersze według trzech działów: „Po wojnie", „Praca" i „Na wsi". Stanisław Piętak, który poprzedził zbiorek przedmową, przewiduje możliwe zarzuty pod adresem autora, że „utwory o charakterze publicystycznym zostały pomieszane z perłami liryki" i usprawiedliwia go stwierdzając, że „w publikacjach tego rodzaju twórczość dydaktyczna musi zajmować miejsce znaczne". Istotnie, autor w doborze utworów nie kierował się względami estetycznymi, lecz doborem tematyki i treści emocjonalnej, zdolnej wywołać najżywszy oddźwięk wśród młodego pokolenia. Nic więc dziwnego, że poziom artystyczny poszczególnych pozycji nie może być wyrównany. Obok wierszy Norwida i Konopnickiej, Kasprowicza i Staffa, Tuwima i Przybosia znajdują się tutaj „pieśni podziemnej Warszawy" — autorów znanych już dziś, jak Borowy, lub anonimowych.

W zbiorku Greniuka, wydanym niedługo po klęsce Niemców, tematyka wojenna zajmuje poczesne miejsce. Widoczne jest, że wzruszenia patriotyczne i wspomnienia bohaterskich czynów stanowią dziedzinę przeżyć świeżych, od których trudno myślą się oderwać. Widoczne jest tutaj jeszcze to samo, co w okresie okupacji, zjawisko, gdy prostota i patos pieśni podziemnych wzruszały nas samym ładunkiem emocjonalnym. Dzisiaj jednak, w momencie względnej stabilizacji życia, wyzwala się krytycyzm w stosunku do wypowiedzi zbyt łatwych, notowanych na gorąco i dziedzina uczuć patriotycznych domaga się wzruszeń w innych kategoriach. Dzisiaj, po upływie roku od wydania zbiorku Greniuka, należałoby przeprowadzić selekcję, umieścić pozycje nowe, a wycofać inne, by wyrabiać w młodzieży świadomość, że tematyka patriotyczna nie tylko nie zezwala na łatwiznę, lecz przeciwnie, zobowiązuje do wysokiego, artystycznego poziomu.

W dziale „Na wsi" kryterium doboru utworów stanowi tematyka chłopska. Obok wierszy Staffa i Młodożeńca, które w strofach pełnych ładu chwalą „wieś spokojną, wieś wesołą", w wierszach współczesnych pobrzmiewa pobudka do pracy, lub — nie pozbawiona nieraz pogróżek — nuta walki społecznej. Obok artystycznej pełni — ton wiecowej demagogii, obok stylizacji — prymitywizm. I tutaj także — wyjąwszy kilka pięknych i silnych wierszy — hasła w duchu czasu nie wytworzyły jeszcze odpowiednich środków poetyckich.

Najbardziej harmonijny pod względem artystycznym jest dział pt. „Praca" — dużo tu pozycji mocnych i prostych, dających wyraz pełnej zapału pracy nad odbudową życia z gruzów. Wiersze z tego działu — z racji łatwości doboru rychów i dźwięków naśladujących pracę — mogą być najlepiej wyzyskane w zbiorowych deklamacjach. Układ inscenizacyjny zawartych w zbiorku wierszy i piosenek zdradza znajomość scenicznego układu postaci w żywych obrazach, zbiorowe recytacje uwzględniają różnice barwy głosów i wyzyskują możliwości połączenia deklamacji solowej z chórem. Jeśli nawet poszczególne pozycje będą wymagały zmiany układu, zakreślone schematy inscenizacyjne dają pole dla inwencji.

Zasadniczym brakiem wśród wyszczególnionych działów jest pominięcie dziedziny nauki i książki. W momencie, gdy wszyscy garną się do wiedzy, umiłowanie książki jest szczególnie ważne, godne wysunięcia na pierwszy plan. Na terenie pracy szkolnej czy świetlicowej tego rodzaju tematyka przede wszystkim domaga się popularyzacji. Przez książkę, przez codzienną pracę nad kształceniem intelektu dochodzimy do sedna zainteresowań młodzieży we wszystkich wyszczególnionych przez autora dziedzinach: uczuć patriotycznych, umiłowania wsi i kultury ludu, pozytywnego wysiłku nad odbudową kraju. Jest to jeszcze jeden powód, który winien skłonić autora do rozszerzenia i dokonania zmian w dotychczasowym układzie tej i dzisiaj bardzo pożytecznej książeczki.

Krystyna Kuliczkowska

Książka Fiedlera

Arkady Fiedler. „Dziękuję ci, kapitanie". (Kraków), „Czytelnik", 1946; str. 240.

Spis książek ogłoszonych przez Fiedlera jest zarazem listą jego wielkich podróży w głąb Peru, Brazylii, Kanady i Madagaskaru (potem nastąpiła podróż na wyspy Pacyfiku). W opisach przygód z tych wędrówek okazał się Fiedler pisarzem nader utalentowanym. Chociaż bowiem porównanie jego informacyj z rzeczywistością daje czasem wynik ujemny (na żądanie służę szczegółami w zakresie Ankaiziny i dżungli nad Ukajali), okupują go wybitne wartości literackiego opisu i świetny nerw narratorski, który sprawia, że jego reportaże podróżnicze są nie tylko zajmującym i „rozkosznym" opowiadaniem o dziwach szerokiego świata, ale niezaprzeczalnym dziełem sztuki.

Wydane w czasie wojny książki Fiedlera „Dywizjon 303" (1942) i „Dziękuję ci, kapitanie" (1944) mają inny charakter; opis udziału polskiego lotnictwa myśliwskiego w walce powietrznej o Anglię („Dywizjon 303") jest relacją wtórną, jest odtworzeniem opowiadań ludzi, z którymi Fiedler bezpośrednio nie współdziałał; podobnie w „Dziękuję ci, kapitanie" treść książki — dzieje przygód wojennych polskiej marynarki handlowej w okresie 1939—41 — zawiera opis przygód cudzych. Ten brak bezpośredniości wywarł ujemny wpływ na oba utwory. „Dywizjon 303" osiągnął największe powodzenie — książka wyszła w języku francuskim, holenderskim i portugalskim, a nadto sześciokrotnie po angielsku, nie mówiąc o wydaniach polskich — a jednak, powiedzmy otwarcie, jest to pod względem artystycznym bodajże najsłabsza książka tego ulubionego pisarza; „Dziękuję ci, kapitanie" ma rangę artystyczną niewątpliwie wyższą, ale i w tej książce widoczny jest szkodliwy wpływ faktu, że wyborny obserwator nie mógł wszystkiego zobaczyć osobiście.

Niemniej jednak, Fiedler, stary wyjadacz egzotyki, dobrze się czuje na wodach Atlantyku, koło Grenlandii czy w portach Francuskiej Afryki Zachodniej. Książka ma fragmenty o dużej wartości. Dramatyczne dzieje podróży wojennej handlowego konwoju z Kanady do Anglii, awanturnicze dzieje statku „Kromań", uwieńczone kapitalną ucieczką z wrogiego w 1940 r. Dakaru, wreszcie trochę prymitywna, ale wybornie w duchu morskim utrzymana antropomorfizacja statku „Bielsk" — oto najmocniejsze stronice najnowszego reportażu Fiedlera. Mamy tu poza tym próby zróżnicowania psychologicznego opisywanych postaci, czego w gruncie brak w „Dywizjonie 303"; a choć Roch czy Łoza, są aż zanadto „sienkiewiczowscy", sylwetka kapitana Czarneckiego przywodzi na myśl londonowskiego Wolfa Larsena, co, zważywszy nowelistyczną zwięzłość Fiedlera, musi się uznać za wybitne osiągnięcie. Również postać kapitana Dybka rysuje się bardzo wyraziście.

Co natomiast można Fiedlerowi słusznie zarzucić, to jego punkt widzenia, opisywanie statku od strony kapitańskiego mostku. Marynarska rzesza pozostaje bezimienna. Anemiczny Jaś sternik czy ktoś tam jeszcze nie okupują winy. Trzeba nam dopiero Papugi, by spojrzeć na dzieje morskich ludzi niejako od wewnątrz. Nie znaczy to, by książka Fiedlera nie była pozytywnym dorobkiem nowej polskiej literatury marynistycznej. Owszem, jest pozycją poważną, a poza tym ma znaczenie jako bezpośredni, na gorąco podany opis fragmentu jeszcze jednej „rozstrzygającej bitwy" (bitwy o Atlantyk).

Parę słów o stylu Fiedlera. Znana jest jego zdolność opisywania nieożywionej przyrody, a zwłaszcza opisywania zwierząt; są to niejednokrotnie opisy mistrzowskie. W obu swoich książkach wojennych daje Fiedler opisy pełne polotu i plastyki, pełne życia, werwy i wdzięku. Zdarzają się jednak potknięcia. W „Dywizjonie 303" opisuje Fiedler wizytę angielskich pań: „przyszły jasne, szlachetne kwiaty, by poznać sławnych lotników". W „Dziękuję ci, kapitanie", żona pewnego Francuza „wzbudzała u wielu mężczyzn nieczyste żądze i sprośne nadzieje". A gdy w „Dywizjonie" czytamy w związku z groźną przygodą pewnego lotnika: „gorąca oliwa chlusta w jego twarz, od skwaru robi mu się słabo, jest bliski omdlenia i **niemal mu nieprzyjemnie**" — autor nie wzbudza uczucia podziwu dla „krzepy", o co mu szło zapewne, ale raczej chęć zaklęcia po marynarsku.

Ale Fiedler to jednak Fiedler, wszyscy go czytają, wszyscy go cenią, a krytyk niech się da wypchać.

J. A. Szczepański

BECK SIĘ NAM PRZYSŁUŻYŁ

Oto krótka informacja dziennikarska

Na ekranach amerykańskich wyświetlany jest obecnie najnowszy film „Paramountu" pt. „Searching Wind"; film cieszy się dużym powodzeniem.

Akcja jego odbywa się przed drugą wojną światową. W czasie kryzysu czechosłowackiego przybywa do Rzeszy specjalna misja prezydenta Roosevelta, o której celu na próżno usiłują się dowiedzieć Niemcy. Urządzają amerykańskiemu dyplomacie przyjęcie, aby w swobodniejszej atmosferze wydobyć jakiś interesujący szczegół. Szef misji odmawia przybycia na bankiet i udaje się na romantyczną eskapadę z korespondentką agencji amerykańskiej.

Pragnąc zemścić się na niewiernym mężu, żona amerykańskiego dyplomaty udaje się na bankiet bez wiedzy męża. Na przyjęciu asystuje jej generał polski, któremu Amerykanka po kilku kieliszkach zdradza cel podróży. Chodzi o szczegóły akcji Stanów Zjednoczonych przeciwko Niemcom.

W następnej scenie słyszymy rozmowę telefoniczną: polski generał przekazuje zdobyte wiadomości... jakiemuś dygnitarzowi niemieckiemu. W imieniu Führera Niemiec składa polskiemu generałowi podziękowanie za cenne informacje. .

PRZED NOWYM SEZONEM KONCERTOWYM

Roman Palester otrzymał nagrodę muzyczną Krakowa

Na razie nie wiemy jeszcze, jakie są szczegółowe plany i programy naszych czołowych instytucji koncertowych na sezon 1946—1947. Przypuszczać należy, że z doświadczeń poprzedniego sezonu wyniesiemy niejedną poważną korzyść, i że dzięki coraz lepszej organizacji, regulującej poczynania poszczególnych zespołów, obraz naszego życia muzycznego zacznie wreszcie przybierać kształty bardziej jednolite, wynikające nie z przypadku czy z chwilowej koniunktury, ale ze świadomego przemyślenia.

Jakiekolwiek będą wytyczne, którymi kierować się będzie w tym sezonie nasze życie koncertowe, jest rzeczą pewną, że już dziś zarysowują się linie, którymi pójdzie — a przynajmniej pójść powinna — jego organizacja: pierwsza — to przypadające na rok 1947 **dziesięciolecie śmierci Karola Szymanowskiego,** druga — to powrót do kraju Grzegorza Fitelberga. Oba te momenty łączą się ze sobą jak najściślej.

Rocznica Szymanowskiego nakłada na nasze społeczeństwo obowiązek zainteresowania się jego puścizną w znacznie większej mierze, niż to się działo dotychczas. Wykonanie **wszystkich** kompozycji autora „Harnasiów" w roku 1947, i to w możliwie jak najlepszej interpretacji, nie w jednym tylko mieście ale w całej Polsce, jest pierwszym obowiązkiem, który narzuca się w stosunku do twórcy o tym pokroju i tym znaczeniu historycznym.

Sztuka Szymanowskiego **jest** znana i ceniona za granicami Polski jako pozycja czołowa w historii całej muzyki nowoczesnej. Musi ona zdobyć sobie nareszcie w kraju to znaczenie, jakie się jej należy, musi spełnić tę pionierską rolę w naszej kulturze muzycznej, w jakiej nie i nikt zastąpić jej nie potrafi. A w tym musimy jej dopomóc.

Rocznica śmierci Karola Szymanowskiego schodzi się szczęśliwym zbiegiem okoliczności z innymi zdarzeniami w naszym życiu muzycznym: z powrotem do kraju **Grzegorza Fitelberga,** tego najbardziej powołanego interpretatora muzyki Szymanowskiego. Nie chcę przez to powiedzieć, by poza Fitelbergiem nie było w Polsce ludzi, którzy około popularyzacji tej muzyki położyli, w ostatnich zwłaszcza latach, duże zasługi (wystarczy wymienić Waleriana Bierdiajewa i Zygmunta Latoszewskiego).

Ale mimo wszystko Grzegorz Fitelberg zajmuje tu miejsce zupełnie szczególne: jest on jedynym w Polsce człowiekiem posiadającym najczystsze, jeżeli się tak można wyrazić, nieskażone tradycje tej interpretacji wprost z pierwszej ręki. Nikt nie był osobiście tak blisko związany z Karolem Szymanowskim jak on. Wszak Fitelberg właśnie należał wraz z Szymanowskim do „Młodej Polski", owej grupy kompozytorów, którzy tuż po r. 1900 wzięli na swe barki trud odrodzenia polskiej muzyki, wyprowadzenia jej z tego impasu, w jakim tkwiła w drugiej połowie XIX wieku (sam Fitelberg jest twórcą licznych utworów symfonicznych i kameralnych jak „Pieśń o sokole", 2 symfonie, poemat symfoniczny „W głębi morza", „Rapsodia polska", 2 sonety skrzypcowe, trio fortepianowe, pieśni; ważną pozycję w jego dorobku stanowi też wykończona i zinstrumentowana kompozycja zmarłego przedwcześnie M. Karłowicza „Epizod na maskaradzie"). Poświęciwszy się później dyrygenturze, Fitelberg stał się w kraju i za granicą niestrudzonym propagatorem muzyki Szymanowskiego i nowej muzyki polskiej. Wystarczy powiedzieć, że w latach od 1906 (w którym to roku dyrygował w Berlinie po raz pierwszy utworami „Młodej Polski") do roku 1939 umieścił dzieła współczesnej muzyki polskiej na 112 swych koncertach, z których 96 za granicą poświęconych było wyłącznie muzyce polskiej! Lata przymusowej emigracji w okresie wojny były dalszym ciągiem tej działalności Fitelberga we Francji, Holandii, później w Ameryce Północnej i Południowej, a wreszcie w Anglii, gdzie, pod jego batutą kilkakrotnie wykonane zostały w rb. „Harnasie" oraz polskie utwory na festiwalu

Karol Szymanowski

Grzegorz Fitelberg

Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej.

W najbliższym czasie Grzegorz Fitelberg powróci nareszcie do kraju. Dla naszego społeczeństwa, które pamięta jego działalność przedwojenną w Filharmonii Warszawskiej i w Polskim Radio, jest to niewątpliwie moment wielkiej wagi. Z jego powrotem wiążemy nadzieje pełnej regeneracji życia muzycznego. Jak słychać, Ministerstwo Kultury i Sztuki ma zamiar powołać do życia specjalny komitet celem stworzenia w Warszawie **„Narodowej Filharmonii"** i powołać Fitelberga na jej dyrektora.

Tam uzyska w przyszłości placówkę, na której terenie będzie mógł rozwinąć swą działalność, a tymczasem przypuszczać należy, że wszystkie miasta polskie, rozporządzające większymi zespołami symfonicznymi, zechcą wyzyskać pobyt Fitelberga w kraju i możliwości, które się z tym łączą. Jemu przede wszystkim powinno się poruczyć organizację „Roku Szymanowskiego", w jego znakomitej interpretacji powinniśmy usłyszeć wszystkie symfoniczne utwory Szymanowskiego. Wykonania te powinny zostać nagrane na płytach jako wzorowe i z bezpośrednich tradycji biorące początek. Jest to zadanie konieczne, na które muszą się znaleźć odpowiednie fundusze.

Do tej pory nie mamy prawie żadnych nagrań kompozycji Szymanowskiego. Tradycja jedynego w swym rodzaju wykonania jego pieśni przez Stanisławę Szymanowską poszła wraz z nią w zapomnienie. Następstwem tego jest smutny fakt, że dziś nie ma prawie w Polsce śpiewaków, którzy potrafiliby wykonać te rzeczy na poziomie. Nie można dopuścić, by to samo stało się z resztą puścizny największego naszego twórcy współczesnego. Czekamy więc na powstanie już w najbliższej przyszłości komitetu dla obchodu „Roku Szymanowskiego", w którym to komitecie skupione zostaną wszystkie najlepsze nasze siły dla celowej współpracy. Czekamy z radością na przyjazd Grzegorza Fitelberga.

Stefania Łobaczewska

„HAMLET" W TEATRZE OPOLSKIM

HAMLET (Jerzy Ronard-Bujański)

Z Hamletem dzieje się to samo, co ze świętym Sebastianem. Męczennika wyobrażamy sobie zwykle tak, jak go malowali artyści Renesansu: urodziwego młodzieńca wywracającego melancholijne oczy... I gdy w r. 1918 na wystawie formistów poznańskich pojawił się obraz Stefana Szmaja, który zerwał z wiekową tradycją i wyobraził Sebastiana złamanego i zmaltretowanego kaźnią, wcale nie pięknego, wcale nie umierającego „z wdziękiem", mówiono o Szmaju jak o bluźniercy...

I Hamlet jest w tradycji scenicznej smukłym młodzieńcem, twarz musi mieć koniecznie pociągłą i duże, melancholijne oczy. Jerzy Ronard-Bujański nie ma takich warunków zewnętrznych na szablonowego Hamleta, a przecież Opolanie nie obruszyli się, patrząc na Hamleta Bujańskiego, przeciwnie: teatr huczał od entuzjastycznych braw. Bo Ronard-Bujański ma zgoła inne warunki na Hamleta: ma inteligencję i kulturę, ma poza tym sugestywny, chwilami po prostu drapieżny sposób podawania słowa i umiejętność wprowadzania mądrze stosowanej metody do szaleństw Hamleta; w partiach ironicznych tak górował nad kukłami i statystami dworu, że czuło się pod maską twarzy i pod maską słów tragiczną samotność królewicza duńskiego.

Prof. Stanisław Staśko, który już drugi rok prowadzi teatr w Opolu, jest trochę szaleńcem: w zeszłym sezonie zagrał w najcięższych warunkach „Kordiana", „Balladynę" i „Dziady", dał trzy prapremiery polskich sztuk i stale rzucał się z motyką na słońce. Ale i w jego szaleństwie jest metoda. Były potknięcia i błędy, jednakże pierwszy sezon w rezultacie zakończył się dużym plusem: żarliwy entuzjazm Staśki potrafił zarazić Opolan; uwierzyli w swój teatr, nauczyli się do niego chodzić.

I nowy sezon rozpoczął Staśko od razu fortissime doskonałą inscenizacją „Hamleta". A zapowiada na najbliższą przyszłość aż pięć prapremier sztuk polskich.

Artur M. Swinarski

OFELIA (Celina Niedźwiecka) i LAERTES (Julian Jabczyński)

KORESPONDENCJA

SIEDŹ W KĄCIE, NIE ZNAJDĄ CIĘ

Do redaktora „Odrodzenia"

W ostatnim „Pokoleniu" (nr 2) anonimowy W. zmartwił się, że w jednym z moich przeglądów prasy („Odrodzenie", nr 30) „lekkomyślnie pomieszałem indywidualności poetyckie Kołonieckiego, Bąka i Bratnego. Jeżeli dobrze odcyfrowałem zniekształcony przez niedbałą korektę tekst notatki — ob. W. nie zrozumiał, iż lista nazwisk w zaczepionym przez niego przeglądzie była po prostu zestawieniem nazwisk tych poetów, których pochwalił omówiony przeze mnie krytyk. Ale czy doprawdy było aż tak trudno pojąć?

Młodemu anonimowi żywo jeszcze stoją w pamięci szkolne czasy wstawania, gdy wchodzi nauczyciel, lub siadania, gdy się „zryło". Niestety: zrył. Przykro mi, ale muszę mu postawić pałkę.

J. A. Szczepański (Kraków)

WYJAŚNIENIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W związku z artykułem L. S. Dutkiewicza pt. „Wrocław promieniuje", zamieszczonym w numerze 93 „Odrodzenia", Ministerstwo Oświaty podaje do wiadomości, że dwa kursy informacyjne o Dolnym Śląsku (jeden w maju, drugi w sierpniu br.) i kurs metodyki pracy naukowej (a nie: metodyki badań naukowych) zorganizowało Kuratorium O. S. Wrocławskiego przy programowej współpracy „Książnicy Atlas" i zgrupowanych przy niej profesorów uniwersytetu wrocławskiego na zlecenie i z funduszów Ministerstwa Oświaty, a nie Ministerstwa Ziem Odzyskanych.

Ministestwo Oświaty
Biuro Ziem Odzyskanych
Dyrektor Biura
Dr M. Pollak

Kronika filmowa

„Nasz okręt", film produkcji angielskiej, scenariusz, reżyseria, ilustracja muzyczna **Noela Cowarda.**

Jest to historia załogi kontrtorpedowca „Torrin", operującego w rejonie Krety, w gorącym czasie walk o tę wyspę. Film jest umiejętnie robiony na autentyk, chociaż — jak sądzę — tylko niewielkie partie należą w nim do zdjęć autentycznych; reszty dokonał doradca wojskowy, temperujący reżyserię do granic batalistycznego prawdopodobieństwa. Staranna kompozycja, mimo pewnych zawiłości i wieloplanowej akcji, zdołała wydobyć i zespolić różnorodne elementy w jedność i nadać całości liryczny wyraz bardzo szlachetnego gatunku.

Początek — to od razu mordercza wymiana strzałów z jednostkami floty niemieckiej, zatopienie jednego czy dwu przeciwników, a potem pojedynki z nurkującymi bombowcami wroga, zakończone szybko katastrofą — mina powietrzna ugodziła okręt śmiertelnie. Załoga do szalup i do tratwy. Kilkunastu rozbitków z kapitanem Kinrossem na czele stanowi wycinek całej historii okrętu, pokazanej na innym miejscu nawet w stadiach przedwstępnych — w czasie budowy jednostki w doku. Prawie cały film składa się z rzutów retrospektywnych i reminiscencji tej garstki marynarzy, przy czym każdy wątek zaczyna się od podkreślenia przy pomocy obiektywu postaci, którą będzie traktował, i zachwianymi zdjęciami falistymi przypomina, że może tu już chodzić tylko o przeszłość, wywołaną w krytycznej chwili życia.

„Nasz okręt" to film programowy i w pewnym sensie epicki: daje bowiem przekrój społeczeństwa brytyjskiego w rozmaitych warstwach, w rozmaitych czasach — na froncie morskim i na Wyspie. A więc — kapitan Kinross i jego żona (upper middle class): on — wzór marynarza, opanowany, trzeźwy, nie lubiący tracić słów na marne, głęboko przywiązany do swego statku i załogi; ona — dzielnie znosząca nieobecność męża i niebezpieczny jego zawód. Porucznik Hardy — cichy i pełen poświęcenia pracownik; nawet wiadomość o śmierci żony nie potrafi mu wyrwać z gardła jednego zbytecznego słowa. (Środowisko mieszczańskie). Marynarz Blake, wesołek i szczęśliwy amant. Z ujmującą prostotą jest pokazana historia jego małżeństwa od poznania w pociągu z miłą dziewczyną, aż do ślubu z Fredą, do jej ciąży i szczęśliwego uniknięcia śmierci w czasie bombardowania. (To samo środowisko, może jeszcze odrobinę niżej). Znowu inny — młody marynarz, prawie chłopiec. W jednym z poprzednich rejsów załamał się nerwowo i w krytycznej dla statku chwili opuścił swoje stanowisko w podpokładziu w obawie przed zatopieniem. Wspomnienie tego hańbiącego czynu daje mu teraz ostrogę do bohaterstwa; wystarczy, jeśli nim będzie tylko bierna śmierć na posterunku. Kapitan go rehabilituje, umierającego z ran. I tak dalej po ludziach i ich śladach, które pozostaną w płynnej masie wielkiej społeczności.

A teraz gdy idzie o wypadki historyczne: jest tam i Dunkierka. Pokazano ramię floty, która wspiera korpus lądowy w trudnym, ale nie haniebnym odwrocie. Jeden z mocniejszych momentów: niedobitki armii, wielu rannych, dzikie, zaszczute twarze. Dowódca dziękuje kapitanowi za opiekę i sprawne przeprowadzenie operacji załadowania i przewiezienia wojska. Potem Kinross, patrząc z burty za szczupłym oddalającym się oddziałem, mówi coś o chęci uściśnięcia ręki każdemu z nich. Nieefektownie, prosto, po żołniersku.

W ciągłych nawrotach nie ruszamy z miejsca w obecnej sytuacji. Garstka rozbitków przy gumowej dinghi, wyczerpana, zżerana przez sól morską i umazana oliwą, niedaleko od wystającego jeszcze z fal wraku, wystawiona na ataki z powietrza, trzebiona, coraz szczuplejsza. Ale pomoc wreszcie nadchodzi. Kto nie umarł z ran albo wyczerpania, dobija szczęśliwie do Aleksandrii. Tu przyszło kapitanowi zrobić przed frontem pozostałych swoich żołnierzy rachunek ze strat i osiągnięć załogi nieistniejącego już kontrtorpedowca „Torrin". Z dwustu kilkudziesięciu ludzi pozostało zaledwie dziewięćdziesięciu dwu. Dziękuje im za mężną postawę i życzy powodzenia na nowych posterunkach, gdyż zostaną oni na nowo rozlokowani, tam gdzie są ubytki. Żegna się z nimi zbiorowo, a potem z każdym z osobna. Wiele jest tych uścisków ręki, ale nie ma w nich monotonii, są tak zróżnicowane, jak musi być zróżnicowany stosunek człowieka do człowieka: czasem padnie krótkie zdanie, żart, słowo pociechy, albo tylko „good bye" **ma trochę odmienną intonację.**

Historia „Torrina" i jego załogi ma głęboko humanistyczny sens, jest widzowi bliska, tak jak każde dojrzałe dzieło sztuki, przemawia językiem bezpośrednim a przy tym wynalazczym w zakresie drobnych obserwacji, stanowiących o naturalności i wiarogodności przedstawienia. Film grany jest w jedyny dopuszczalny sposób — jest przeżywany. Rolę kapitana Kinrossa kreuje sam realizator **Noel Coward.** Nie jest to aktor, ale właśnie kapitan, nie dopuszcza innej myśli. Dysponuje doskonałą dykcją, a jego głuchy trochę timbre głosu wywiera fascynujące wrażenie. Żonę Kinrossa zagrała szlachetnie **Celia Johnson.** Zwłaszcza jej okolicznościowe przemówienie do żon marynarzy miało w sobie dużą ekspresję. **Bernarda Milesa** (porucznik Hardy) poznajemy z „Jednego z naszych samolotów..." — jego nieurodziwą, uczciwą twarz. Młoda, ujmująca wdziękiem para (małżeństwo Blake) to **John Mills** i **Kay Walsh.** Młodziutkiego marynarza, rozczepionego między tchórzostwem i poświęceniem, wzruszająco odtworzył **Richard Attenborough.** (Doskonała w dramatycznej prostocie scena w pubie, kiedy upokorzony swym niesławnym zachowaniem się, nie może się nawet upić na pociechę; potem wrzuca monetę do pianoli, nie wysłuchuje walca do końca i strzela drzwiami).

Nie byłby to naprawdę film angielski, gdyby oprócz łezki nie było tam korzennej zaprawy humoru. Np. przymusowe skoki Niemców do wody ze storpedowanego statku, który to manewr zresztą Anglicy za niedługi czas muszą powtórzyć; albo ciekawość generała, wyrywającego z Dunkierki, co też za ingrediencje były w napoju, którym go kapitan poczęstował. To zupełnie nieszablonowe spostrzeżenie, klęska klęską, ale żołądek ma swoje prawa. Na każdym kroku pełno takich szczegółów, o których niejedno by można powiedzieć.

Marian Promiński

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 120 zł.
M — 15 157 Złożono w Drukarni Narodowej, odbito w Pierwszej Drukarni Państwowej w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".